



AKACJA



MAGAZYN AKTUALNOŚCI „WOLNOMULARZA POLSKIEGO” - NR 4 PAŹDZIERNIK 2004 ROK - DO UŻYTKU WEWNĘTRZNEGO

Freemasonry
today



FRANCJA

200 LAT RYTU SZKOCKIEGO

Francuscy Wolnomularze zgromadzili się pod koniec sierpnia 2004 roku na Kongresie, który miał przełamywać bariery między wszystkimi dziesięćdziesiąt różnymi Wielkimi Lożami, a odbył się z okazji dwustulecia Starodawnego i Uznanego Rytu Szkockiego. Konferencja zatytułowana „Le Rite Ecosais Ancien Accepte: mise en perspective historique deux siècles après” (Starodawny Uznany Ryt Szkocki: historyczna perspektywa po dwóch stuleciach) miała miejsce w Wielkiej Świątyni przy ulicy Kadetów na Wielkim Wschodzie Paryża.

Głównym mówcą był dr Brent Morris, dyrektor Towarzystwa Badawczego Heredom ze Stanów Zjednoczonych, którego wystąpienie nosiło tytuł „Poprzednicy Starodawnego i Uznanego Rytu w Ameryce”. Dr Morris, dobrze znany wielu brytyjskim wolnomularzom zrzeszonym w Loży Quatuor Coronati, No. 2076, zidentyfikował w swoim przemówieniu osiem masonskich organizacji, które przyjęły wyższe stopnie przed 1801 rokiem. Najwyższa Rada Stanów Zjednoczonych powstała w okresie, gdy amerykańscy wolnomularze zdali sobie sprawę, iż istnieje masonska wiedza wyrażająca poza dotychczasowe stopnie. Świadomość ta była propagowana przez wykłady, książki i rozmawiane działania Bractwa Królewskiej Tajemnicy (the Order of the Roy-

al Secret). Bractwo wraz ze swoimi Inspektorami cierpiało na zbyt poważne braki infrastrukturalne, by móc przetrwać. Lecz jego następca – Starodawny i Uznany Ryt Szkocki, posiadał cechy, które zapewniły mu powodzenie i trwałość.

Roger Daches, Prezydent Masońskiego Instytutu we Francji (Institut Maconnique de France), w swoim wystąpieniu położył nacisk na fakt, iż wyższe stopnie mają pochodzenie rdzennie francuskie. Określenie „szkockie” znaczyło niegdyś „wyższe” czy też „bardziej wyszukane”. Wyższe stopnie skonstruowano, aby móc odkrywać dawne, zapomniane tajemnice. Profesor Jean-Pierre Lassale wskazał kilka wątków w Nowym Testamencie, które jego zdaniem łączą chrześcijaństwo z masonerią. Natomiast Andree Prat z Uniwersytetu Agregee mówiła o tradycji duchowej oraz o znaczeniu inicjacji. – 33 stopnie dały wolnomularzom narzędzia, służące dążeniom do duchowej doskonałości – powiedziała. Z kolei Yves Hivert-Messeca omówiła rozprzestrzenianie się Starodawnego Uznanego Rytu Szkockiego z Francji do Ameryki Północnej, stamtąd zaś do Ameryki Południowej, a szczególnie do Brazylii. Ostatnim mówcą był Pierre Moller, który omówił formowanie się i historię Rytu, nawiązując także do współczesnej historiografii.



VIII Konwent Wielkiego Wschodu Polski

Zgodnie z przyjętą od lat tradycją, w dniu 11 listopada 2004 zbiera się VIII Konwent Wielkiego Wschodu Polski. Ogłosił to oficjalnie na posiedzeniu Wielkiej Rady Zakonu w dniu 20 października br. aktualny Wielki Mistrz prof. dr hab. Zbigniew Gertych.

Udział w obradach Konwentu, wraz z prawem głosu mają wszyscy mistrzowie z tej liberalnej, masońskiej obediencji.

Zgodnie ze statutem, na Konwencie dokonana zostanie ocena działalności Wielkiego Wschodu Polski, prac Komisji Rewizyjnej Finansów oraz Sądu Koleżeńskiego za ubiegły okres.

Konwent dokona również wyboru nowego Wielkiego Mistrza oraz nowych członków Wielkiej Rady Zakonu. Na uroczyste Zamknięcie Obrad Konwentu zaproszone zostały delegacje oraz Najwyżsi Dostojnicy zaprzyjaźnionych z Wielkim Wschodem Polski obediencji wolnomularskich z kraju i zagranicy.

Ze źródeł nieoficjalnych wiadomo, iż urzędujący aktualnie Wielki Mistrz prof. Zbigniew Gertych nie zamierza kandydować po raz trzeci na tę równie zaszczytną, co odpowiedzialną funkcję. O ile nam wiadomo, z ogromnego doświadczenia prof. Zbigniewa Gertycha skorzystać zamierza nowa loża doskonałości „Sokrates” przy budowie w Polsce osobnej obediencji łóż najwyższych stopni wolnomularskiego wtajemniczenia, rytu francuskiego.

Od Redaktora

Ponad dwa tysiące Gości na naszej stronie w Internecie



Cieszymy się ogromnie z tego, że już ponad dwa tysiące osób zechciało kliknąć, aby dowiedzieć się co też ma do zaoferowania „Wolnomularz Polski”, oraz wychodzący od niedawna nasz Magazyn Aktualności „Akacja”.

Jako aktualnie jedyne w tej części Europy Niezależne, Liberalne Pismo Przyjaciół Sztuki Królewskiej, staramy się, aby to była oferta żywa, ciekawa i możliwie wszechstronna. Informująca o życiu i problemach nie tylko masonerii polskiej i europejskiej, ale także światowej.

Siegamy po wszelkie możliwe źródła, staramy się czytać i korzystać ze wszystkich źródeł, publikacji, a także relacji własnych docierających do nas od Przyjaciół Sztuki Królewskiej, noszących fartuchy i insygnia różnych obediencji i rytów, a także od tych, którzy z różnych powodów fartuszką nie noszą, a mimo to są nam bliscy.

Nie będę ukrywał, że cieszy nas fakt, iż naszymi publikacjami żywo interesują się również ludzie programowo wobec masonerii nieprzyjaźni, ba, nastawieni wobec wolnomularstwa wręcz wrogo. Przekonał się bowiem, że w wielu przypadkach jest to wynikiem zuryczanej niewiedzy, ulegania rozmaitym uprzedzeniom i stereotypom, opartym zwłaszcza o tzw. spiskową teorię dziejów.

Nie mamy złudzeń, że ci najbardziej fanatyczni zwolennicy podobnych nedoręczności i tak nie dadzą się przekonać nikomu,

kto nie podziela ich własnych, jedynie słusznych racji. My ze swej strony dalecy jesteśmy od narzucania komukolwiek czegośkolwiek. Nie przypadkowo masoneria rozkwitła najbardziej w dobie Oświecenia, gdy dominowała filozofia i kult rozumu. Tym rozumem, a także obowiązującymi nas kanonami tolerancji i szacunku dla mających inne niż nasze poglądy – staramy się kierować, redagując tak „Wolnomularza Polskiego”, jak i naszą najmłodszą „Akację”.

I w takim duchu próbujemy kształtować naszą internetową ofertę publicystyczno-informacyjną dla wszystkich. Niezależnie od wieku, wykształcenia, majątku czy wyznawanego lub niewyznanego światopoglądu.

Szczególnie cieszą nas te e-maile, listy, telefony i faxy, w których są pytania o możliwość zaabonowania naszych obu pism, a także o to czy i jak można zostać wolnomularzem?

Na takie i inne podobne pytania postaramy się w możliwie różnych formach odpowiedzieć. Za rzeczową krytykę jesteśmy i będziemy wdzięczni. Za słowa otuchy i życzenia pięknie dziękujemy. Ludzi pióra, interesujących się Sztuką Królewską, do współpracy zapraszamy.

Adam Witold Wysocki
redaktor naczelny

Wolnomularze Wielkiego Wschodu Polski
składają Znakomitemu Znawcy i Przyjacielowi Sztuki Królewskiej

Prof. Ludwikowi Hassowi

Wyrazy głębokiego żalu i współczucia z powodu Zgonu Matzonki

Marii Hass

w imieniu Rady Zakonu oraz własnym

Prof. Zbigniew Gertych

Wielki Mistrz W.W.P.

Honorowemu Przewodniczącemu Rady Naukowo-Programowej „Wolnomularza Polskiego”
Wielkiemu Znawcy i Przyjacielowi Sztuki Królewskiej

Prof. Ludwikowi Hassowi

Wyrazy głębokiego współczucia z powodu Śmierci Matzonki

Marii Hass

składają w imieniu Grona Przyjaciół Masonów

Adam Witold Wysocki

Mirosława Dołęgowska-Wysocka

KTO MOŻE ZOSTAĆ MASONEM

cz. IV rozmowy z dr Norbertem Wójtowiczem
rozmawia Natalii Dueholm

Kiedyś w niektórych krajach, np. w Skandynawii czy Niemczech, przynajmniej przed 1913 r., masonem mógł być tylko chrześcijanin, chociaż Albert Pike pisał, że loże są otwarte dla żydów i muzułmanów. Czy dziś wszystkie loże otwarte są dla wyznawców wszystkich religii i ateistów?

- W tzw. Konstytucji Andersom z 1723 r., stanowiącej podstawową kodyfikację praw masonskich, czytamy m.in., że: „Mason powinien, z tytułu swej przynależności, przestrzegać Prawa moralnego; i jeżeli dobrze rozumie zasady Sztuki, nie będzie nigdy bezmyślnym Ateistą ani libertynem nie uznającym żadnej Religii. W dawnych czasach Masoni, we wszystkich krajach, musieli praktykować religię ich kraju czy narodu, jaka by ona była; obecnie, kiedy każdy ma prawo do własnych poglądów, bardziej wskazane jest naklanianie do przestrzegania Religii, co do której wszyscy ludzie są zgodni”. Było to bardzo ogólnikowe sformułowanie stanowiące próbę odwołania się do pojęcia „religii naturalnej” mającego stanowić wspólne minimum wszystkich religii pozytywnych. Nie da się jednak ukryć, że początkowo było to przez wielu utożsamiane z dominującym w Europie chrześcijaństwem. W konstytucji warszawskiej loży „Cnotliwego Sarmaty” z 1769 r. możemy znaleźć m.in. sformułowanie, że „każdy Mason powinien być chrześcijaninem jakiego bądź wyznania”.

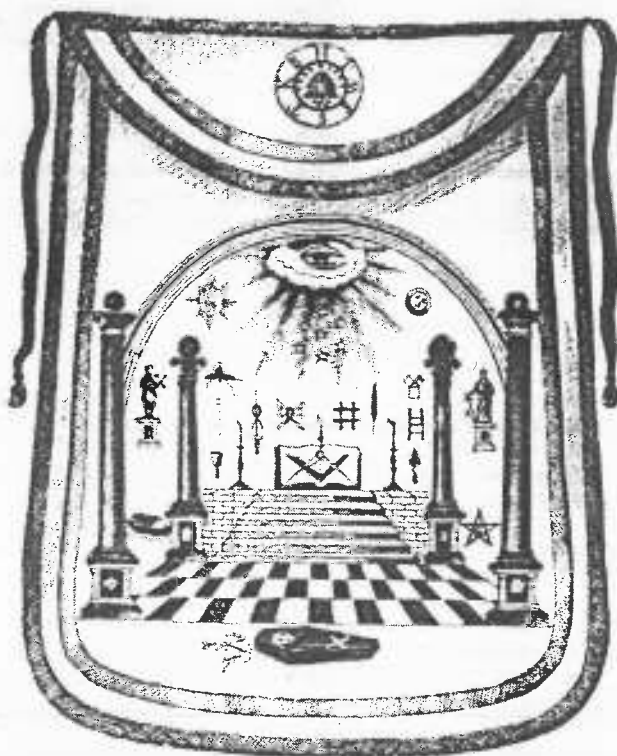
W niemieckim wolnomularstwie należy przede wszystkim zwrócić uwagę na działalność dominujących na tej scenie tzw. staropruskich

Wielkich Łóz, tj. Grosse National-Mutterloge „zu den drei Weltkugeln”, Grosse Loge von Preussen zwaną Royal York zur Freundschaft oraz Grosse Landesloge der Freimaurer von Deutschland. Tu przez długi okres niemieckie loże domniemywały, że „religia powszechna”, o której wspomina-

z ostracyzmem środowiska i zwalczaniem loży przez władze, a w 1851 r. do zakazu działalności. Zasady te zostały nieco rozluźnione stosunkowo późno, bo dopiero w drugiej połowie XIX stulecia. W latach 60. i 70. zaczęto dopuszczać do łóż najpierw ludność żydowską spoza Prus, a

władzy część obediencji niemieckich próbowała przystosować się do istniejącej sytuacji, w związku z czym wkrótce wyrzekły się tradycji, wolnomularskich obrzędów i powiązań międzynarodowych. W lożach staropruskich posunięto się nawet do tego, że wprowadzono do statutów paragraf aryjski. Równocześnie posunięciem tym towarzyszyły zmiany nazw podkreślające teraz niemieckochrześcijański charakter Zakonu.

Wspomniana niechęć łóż staropruskich do przyjmowania w swoje szeregi przedstawicieli ludności starozakonnej spowodowała, że w 1843 r. 22 żydowskich emigrantów z Niemiec nauczonych przykrymi doświadczeniami powołało do istnienia w Stanach Zjednoczonych Ameryki pierwszą organizację Niezależnego Zakonu „Synów Przyrzeczenia” (B'nei B'rith). Izidor Herrisch wskazywał, że „stanowił [on] przykład związku wolnomularskiego, choć stworzonego na bardziej wolnych podstawach. Idee, która leżą u podstaw systemu, są w istocie ideami wolnomularskimi, jednak z żydowskim zabarwieniem. Konstytucja, obrządek, symbol, tendencje, literatura, mowa itd. są mocno kopiowane z wolnomularstwa. Założyciele Zakonu po części byli wolnomularzami”. Ten sposób postrzegania Zakonu można znaleźć w wielu wypowiedziach. Autorzy ich wskazują z reguły właśnie na głoszone ideały, rozbudowany rytuał czy wreszcie na wzorowaną na wolnomularstwie strukturę lożową. Tak w przeszłości, jak i dzisiaj, opinie badaczy na „masonskość” Niezależnego Zakonu B'nei B'rith bywają różnicowane. Niektóre środowiska masonskie glo-



nała „Konstytucja Andersona”, inspirowana była myślą o chrześcijaństwie. W związku z tym stosowały zasadę niedopuszczania przedstawicieli innych religii, co w praktyce sprowadziło się do wykluczenia z wolnomularstwa ludności żydowskiej. Kiedy powstała w wyniku zmian w 1848-1849 wrocławska loża „Kosmos”, podjęła próbę jej przyjmowania, spotkało się to

później z wolna także obywateli pruskich. Dla przykładu Royal York zur Freundschaft oficjalnie przyjmowała w swoje szeregi żydów od roku 1872. Jednak po klęsce Niemiec w I wojnie światowej i narastaniu tam tendencji nacjonalistycznym wszystko ponownie uległo drastycznym zmianom, tak iż po 1924 r. w zasadzie zaprzestano tych praktyk. Po dojściu Hitlera do

szą zresztą, iż organizacja ta zawsze stanowiła jedynie niedużo nasładowictwo wzorów masonskich. Niemal od momentu powstania bywała ona też oskarżana o nazbyt wąską interpretację założeń wolnomularskich, gdyż praca jej członków sprowadza się do popierania braci Żydów lub niesienie pomocy potrzebującym rodakom. W okresie międzywojennym Wielka Loża Narodowa Polski zdecydowała się na nieuznawanie placówek B'nei B'rith za organizacje masonskie, a w 1933 r. wypowiedziała się ponadto negatywnie w sprawie inicjowania członków tego zakonu.

Mówiąc o specyfice wolnomularstwa skandynawskiego, trzeba tu podkreślić rolę dominującego tam rytu szwedzkiego. Ten związany tradycyjnie z tronem szwedzkim system funkcjonuje zresztą obecnie również w innych krajach tego regionu, m.in. Danii, Norwegii, Islandii, Finlandii oraz w niektórych rejonach Niemiec. Wskazuje się, że stanowił on bazującą w znacznym stopniu na mistyce chrześcijańskiej kompilację, w której połączono elementy masonerii szkockiej, nauki Emanuela Swedenborga, prawdę biblijną i odwołania do wczesnochrześcijańskiego Średniowiecza. Choć jest to więc miks bardzo nieortodoksyjny, to jednak właśnie tutaj Jezus Chrystus określany jest mianem „prawdziwego Mistrza” i „prawdziwego Rycerza”. W opublikowanym swego czasu na łamach „Ars Regia” wywiadzie z Namiestnikiem Wielkiego Mistrza i przewodniczącym Rady Najwyższej Zakonu Wolnomularzy Szwedzkich (Svenske Frimurare Orden) na pytanie o podstawy etyczne Zakonu możemy przeczytać m.in.: „podstawą jest wiara chrześcijańska. Ci, którzy jej nie przyjmują, nigdy nie będą mogli wstąpić do Zakonu. Trzeba być aktywnym wierzącym”. Dalej Gustaf Piehl precyzował, że nie ma tu znaczenia konkretne wyznanie i członkowie mogą być równie dobrze protestantami, katolikami czy prawosławnymi. Przede wszystkim - wskazywał - zasadniczą kwestią jest tożsamość chrześcijańska”. Tak wyraźne mówienie o chrześcijaństwie członków nie jest jednak codziennością i bez wątpienia wolnomularstwo szwedzkie należy tu do nielicznych wyjątków. Warto

jednak zauważyć, że element ten widoczny jest dziś również w niektórych istniejących wokół wolnomularstwa „appendant organisations”. Sztandarowym tego przykładem jest znany na całym świecie Royal Order of Scotland z wkomponowaną w godło dewizą „Gloria in Excelsis Deo”. Jednym z koniecznych warunków przynależności do tej elitarniej, zrzeszającej wolnomularzy w najwyższym stopniu wtajemniczenia grupy jest właśnie konieczność wyznawania chrześcijaństwa.

Zaś co do ateizmu - to wiele osób powołuje się w tym kontekście na zapisy zawarte w pierwszym skodyfikowanym zbiorze zasad obowiązujących wolnomularzy. Konstytucja Andersom zdaje się bowiem negować możliwość wyznawania przez członków łóż tego typu poglądów. W cytowanej już konstytucji warszawskiej loży „Cnotliwego Sarmaty” czytamy przecież wyraźnie, że „każdy ateusz wyłączony na zawsze”. Bardzo szybko jednak pojawiły się w szeregach wolnomularstwa osoby, które zauważały, że próba wykluczenia ateistów byłaby nie do końca zgodna z propagowaną oficjalnie przez wolnomularzy całkowitą swobodą poglądów religijnych. Bronisław Ferdynand Trentowski nie wahał się w związku z tym stwierdzić, że także „ateista może zostać prawdziwym masonem”. Sformułowanie to mogłoby uchodzić za przełomowe gdyby nie fakt, że w istocie nie była to aż duża innowacja, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. Uznany badacz masonerii, ojciec Herman Gruber podkreślał bowiem, że już w tej zacytowanej powyżej pierwszej konstytucji masonskiej „ateizm nie został potępiony, lecz tylko niewyraźnie dezawuowany, co odpowiadało wymaganiom czasu, podczas gdy zdecydowane opowiedzenie się za ateizmem mogło skończyć się źle dla masonerii. Nie powiedziano wyraźnie, że do masonerii nie mogą być dopuszczani ateści, albo że żaden mason nie może być ateista, lecz tylko napomknięto, że jeżeli właściwie poznaje bractwo, nigdy nie będzie głupim ateistą. [...] Tego rodzaju dezawuowanie może raczej stanowić zachętę dla współczesnego pozytywistycznego ateizmu”. Czasem idzie to zresztą w zaskakującym kierunku. np. w opublikowanym w 1997 r. wywiadzie ówczesny



Zbawiciel Allende. Fotografia ze zbiorów Norberta Wójtowicza

ny Wielki Mistrz Wielkiego Wschodu Polski Andrzej Rusław Nowicki wskazywał, iż obecnie, „respektując zasadę absolutnej wolności sumienia, wolnomularstwo nie widzi przeszkód w przyjmowaniu do łóż ludzi różnych wyznań religijnych, a tym bardziej tych, którzy sami potrafią zbudować sobie własną religię. Wielokrotnie pisałem o takich wspieranych wytworach myśli ludzkiej jak Religia Muzyki, Religia Wolności, Religia Nauki i Sztuki czy Religia Światła i Barwy”.

A tak na marginesie... Związany z Wielką Lożą Narodową Polski Tadeusz Cegielski, odpowiadając na pytanie o możliwość przynależności do loży ateisty, zastrzegając, że jest to niemożliwe, jeśli rozumieć pod tym terminem odrzucenie wszelkiej transcendencji”. Równocześnie jednak tradycyjni wolnomularze regularni wskazują, że przywoływany przez nich „Wielki Architekt Wszechświata” jest jedynie „symbolem transcendencji”, przy czym „da jednego transcendencją jest Święta Trójca, dla drugiego Jahwe albo cały Panteon, albo transcendencja bez Boga...”. W kontekście tej wypowiedzi czasem ciekawi mnie, gdzie przebiega ta granica. Czy to, co proponował Andrzej Nowicki, jest w świecie

tej definicji jeszcze jakąś transcendencją, czy też stanowi już „odrzućcie wszelkiej transcendencji”?

Kiedyś masonami nie mogli być komuniści, jednak wydaje się, że np. Wielki Wschód Francji nie ma z tym problemem...

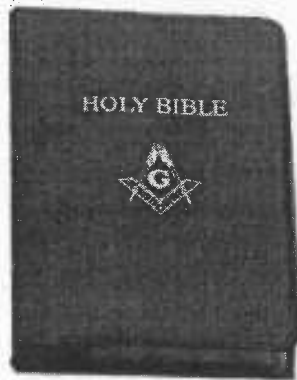
- Relacja pomiędzy wolnomularstwem a ruchem komunistycznym nie jest aż tak jednoznaczna, jak mogłoby się wydawać. Po pierwsze, należałoby zapytać, jaki był stosunek partii komunistycznych do wolnomularskiej przynależności jej członków. A po drugie, co wolnomularstwo sądziło o komunistycznych koneksjach swoich braci”.

Dla twórców tego, co współcześnie określamy mianem „komunizmu”, problem wolnomularski praktycznie nie istniał. Wzmianki o wolnomularstwie w pismach Karola Marksa i Fryderyka Engelsa bez trudu zliczyłby na palcach jednej ręki nawet drwal, któremu zdarzało się pracować w stanie upojenia. Podobnie tworzący herezję na gruncie marksizmu Włodzimierz Lenin całkowicie przemilcza ten problem w swoich pismach. Dopiero Lew Trocki w sposób jednoznaczny zanegował wolnomularstwo, wskazując na niemoż-

liwość połączenia „wierności zasadom walki klasowej” z działalnością w strukturach masonskich. Co więcej, po zwycięstwie rewolucji bolszewickiej, już na początku 1918 r. działalność łóż – jako organizacji burżuazyjnych została na terenie Rosji Radzieckiej zakazana. Ponadto 2 grudnia 1922 r. IV Kongres Międzynarodówki Komunistycznej podjął uchwałę uznającą wolnomularstwo za strukturę szerzącą ideologię klasową, wrogą ideologii rewolucyjnego proletariatu. Dostrzegając przynależność niektórych członków do wolnomularstwa, wskazywano równocześnie: „Zostanie wykluczony automatycznie z Partii Komunistycznej na zawsze i bez prawa powrotu w jej szeregi w jakimkolwiek momencie ten, który przed pierwszym stycznia (1923) nie zadeklaruje otwarcie swojej organizacji i nie opublikuje w prasie partyjnej swego kompletnego zerwania z wolnomularstwem. Ukrycie przez kogokolwiek swojej przynależności do wolnomularstwa będzie uważane za penetrację do partii agenta wroga i napiętnuje indywiduum, o którym mowa, hańbą wobec całego proletariatu”. Dziś nieliczni autentyczni komuniści – jak np. Ludwik Hass – dalej powtarzają, że „komuś, kto przybył z zagranicy i myślał o odnowieniu wolnomularstwa, powiedziałem, że moje poglądy polityczne są wiadome, a więc nie może liczyć na moje wstąpienie do loży”.

Już od czasów Konstytucji Andersona loże tradycyjnie nawołują o swojej „otwartości” dla wszystkich, niezależnie od ich prywatnych przekonań politycznych. Tadeusz Cegielski wskazywał zresztą, że loża „nie zajmuje się polityką. Choć należą do niej politycy, to loża nie prezentuje określonej opcji politycznej – przeciwnie, jest terenem spotkań między lewicą i prawicą”. Wykluczano jedynie skrajności reprezentowane przez pojawiających się z obu stron radykałów. W tej sytuacji środowiska masonskie nigdy nie ukrywając swych postępowych przekonań (a postępowości wszak często bywa utożsamiana z lewicowością), chlubiły się później zaczerpniętą z książki „The Revolutionary Internationales 1864-1943” Milorada M. Drachkovitcha informacją, iż „dwaj polscy wolnomularze: Jan Edward Holtorp i Franci-

szek Rybczyński, współorganizatorzy Pierwszej Międzynarodówki, byli wolnomularzami w Anglii”. To, że pewne kręgi wolnomularstwa ujawniały tendencje lewicowe, widoczne było w historii niejednokrotnie – chociażby na przykładzie uchwały Konwentu Wielkiego Wschodu Francji z września 1937 r., w której podano zasady nowego ustroju gospodarczego i wskazówki, jak ten ustrój należy realizować. Uchwały powstały w dobie formowania się Frontu Ludowego i rządu socjalisty Leona Bluma. Zdaniem ówczesnych, w tych uchwałach widać było wyraźne opowiedzenie się wolnomularstwa za wprowadzeniem kolektywizmu, poprzez przejściową socjalizację banków, ubezpieczeń i głównych gałęzi przemysłu. Z reguły jednak mówiąc o lewicowości wolnomularzy, należałoby raczej używać terminu „socjalizm”, aniżeli „komunizm”. No, chyba że przyjmujemy niefortunny sposób myślenia niektórych



polityków uważających, że „na prawo od nas – tylko ściana; na lewo – komunizująca lewica”.

Dziś w polskim wolnomularstwie w zasadzie nic się w tej materii nie zmieniło.

Nie potwierdza więc Pan teorii, że iluminaci zlecieli Marksowi i Engelsowi napisanie „Manifestu Komunistycznego” (1848)? Czy Karol Marks był masonem?

– Określenie „iluminaci” jest terminem niejednoznacznym, gdyż przyglądając się historii, możemy natrafić na kilka struktur, używających tej nazwy. Podejrzewam, chodzi tu o najbardziej znanych, ostatecznych Illuminatów Bawarskich założonych w 1776 r. przez Adama Weishaupta. Nie istnieją jakiegokolwiek wiarygodne źródła historyczne pozwalające w sposób bezpo-

średni połączyć dzieło Weishaupta z działalnością twórców „Manifestu Komunistycznego”, poza tym organizacja ta zaprzestała działalności jeszcze w XVIII w. i nie było fizycznej możliwości, by mogli oni cokolwiek „zlecić” Marksovi i Engelsowi. Obok Illuminatów Bawarskich w grę wchodzić mogliby ewentualnie jeszcze kierowani przez „Króla Nowego Izraela” – starościca liwskiego Tadeusza Grabiankę – Illuminaci Awiniońscy lub też Nowożytni Illuminaci, których działalność związana jest z osobą Teodora Reussa. Ci pierwsi jednak podobnie jak Illuminaci Bawarscy zakończyli swoją działalność 200 lat temu. Była to zresztą struktura zrzeszająca bardziej mistyków, kabalistów i alchemików, aniżeli ludzi stawiających sobie rewolucyjne cele polityczne. Zaś co do Nowożytnych Illuminatów, to choć twierdzili oni, że stanowią oni kontynuację działalności Weishaupta, to nie ulega wątpliwości, że była to struktura powstała dopiero w początkach XX w. Cała teoria mówiąca o XVIII-wiecznym rodowodzie była jedynie barwną legendą mającą przydać organizacji uroku w kręgach ezoterycznych. Żadna z tych struktur nie istniała więc w okresie, gdy powstał „Manifest Komunistyczny”.

Działające w przeszłości rozmaite Zakony Illuminatów mimo zbliżonej nazwy były zupełnie odrębnymi tworem. Historycy nie są w stanie wskazać tu jakiegokolwiek ciągłości. Ociągającej się przez stulecia zakulisowej działalności illuminatów mówią dziś z przekonaniem jedynie patrzący na świat z przymrużeniem oka zwolennicy dyskordianizmu i nieliczni autorzy książek sensacyjnych – wystarczy spojrzeć na stanowiącą klasykę literatury dyskordiańskiej trylogię „Illuminatus!” Roberta Shea i Roberta A. Wilsona czy chociażby na głośną ostatnio powieść Dana Browna.

Jeżeli natomiast chodzi o wolnomularską przynależność Karola Marksa, to choć w źródłach nie brak licznych przekazów mówiących o jego znajomościach i przyjaźniach z wolnomularzami, to brak jest wiarygodnych informacji mogących świadczyć o jego inicjacji.

Dziękuję za rozmowę.

*Rozmawiała
Natalia Dueholm*

BUŁGARIA

Konsolidacja bułgarskich wolnomularzy

Zjednoczona Wielka Loża Anglii uznała oficjalnie Wielką Lożę Starodawnych Wolnych i Uznanych Masonów Bułgarii (the Grand Lodge of Ancient Free and Accepted Masons of Bulgaria).

Jeszcze przed trzema laty w Bułgarii istniały dwie rywalizujące ze sobą Wielkie Loże. Ten niekorzystny stan rzeczy uporządkowano w kwietniu 2001 roku, kiedy Artykuły Zjednoczenia zostały uzgodnione i podpisane przez Wielkiego Mistrza Wielkiej Loży Bułgarii, Yanka Boneva oraz Wielkiego Mistrza Wielkiej Loży Bułgarii Starodawnych Wolnych i Uznanych Masonów, Borislava Sarandeva. Na mocy Artykułów powstała nowa Wielka Loża Starodawnych Wolnych i Uznanych Masonów Bułgarii.

W maju 2001 roku odbyło się w Sofii Nadzwyczajne Generalne Zgromadzenie Wielkiej Loży, w czasie którego wybrano Wielkich Oficerów oraz członków rozmaitych Komitetów działających w obrębie Wielkiej Loży. Od 2002 roku wielu Braci oraz całych łóż, biorących udział we wcześniejszym rozłamie, wyraziło chęć ponownego przystąpienia do regularnej masonerii. W związku z tym Wielka Loża zgodziła się rozpatrzyć kandydatury tych, którzy pragnęli znów stać się jej członkami. W czerwcu 2003 roku miała miejsce Ceremonia Regulacyjna, podczas której 226 Braci i 6 Łóż zostało uregulowanych i przyjętych do Wielkiej Loży. W czasie Ceremonii byli obecni, między innymi: Wielcy Mistrzowie i Reprezentanci Wielkiej Szwajcarskiej Loży ALPINA, Zjednoczonych Wielkich Łóż Niemiec, Wielkiej Loży Brytyjskich Wolnomularzy w Niemczech, Wielkiej Loży Turcji, Wielkiej Loży Niemiec AF&AM oraz Narodowej Wielkiej Loży Rumunii. Kolejnych 30 Braci przyjęto w listopadzie 2003 roku i to zakończyło proces konsolidacji regularnego wolnomularstwa na Wschodzie Bułgarii. ■

Różne oblicza walki

Walka z Kościołem trwa od dawna. W sposób jawny i bezpardonowy zasadniczo zaczęła się od rewolucji francuskiej. Trzeba sobie uświadomić, że była i jest prowadzona bardzo starannie i rozważnie, że nie było i nie ma tu działań nieprzemysłanych.

Również system komunistyczny wydał walkę na śmierć i życie Kościołowi. Zaczęła się ona na długo przed rewolucją październikową, a w latach późniejszych nie ustawała, tylko zmieniano metody. Kluby „bezbożników“, niszczenie kościołów, łagry, więzienia, obozy, wysiedlenia, to wszystko stało się udziałem duchowieństwa i wiernych. W późniejszych latach jawne ataki i fizyczne prześladowania zmniejszono, Kościół mógł żyć w atmosferze względnego spokoju. Oczywiście w każdym z krajów rządzonych przez komunistów wyglądało to trochę inaczej, ale ogólnie w późnych latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku wszędzie dało się zaobserwować pewne uspokojenie.

Rozbić Kościół od wewnątrz

Gdy na Stolicę Piotrową wybrał się Polak, komuniści poczuli się zagrożeni. Były to lata „wojen gwiazdnych“, gdy Związek Sowiecki starał się zdobyć jak najwięcej informacji szpiegowskich o stanie wojskowości i przemysłu świata zachodniego.

W tym właśnie czasie Breżniew, Andropow i inni przywódcy sowieccy doszli do wniosku, że niebezpieczeństwo płynące z Watykanu i Kościoła katolickiego w Polsce jest tak wielkie, że należy bardziej inwestować w przenika-

nie struktur kościelnych niż w szpiegostwo przemysłowe. Zaczęto wprowadzać do Polski wysoko wykwalifikowanych oficerów służb specjalnych, którzy wchodząc w kontakty z duchowieństwem, mieli szanse na uzyskanie pożądaných informacji lub wpłynięcie na niektórych duchownych. Oprócz tych agentów istniała dość duża grupa ludzi skierowanych bezpośrednio do przenikania w szeregi duchowieństwa. Proceder ten trwał bardzo długo, a rozpoczął się jeszcze w latach czterdziestych. Infiltracja duchowieństwa przez komunistyczne służby specjalne była prowadzona starannie i mimo wielkich wysiłków Kościoła nie udało się jej w całości zapobiec. Do dziś nie ujawniono wszystkich dokumentów, nie można więc wnioskować, jak liczna była grupa funkcjonariuszy skierowanych do pracy w strukturach kościelnych. Dla nich była (lub dotychczas jest) to normalna praca, wykonywanie zadania - być może bardzo trudnego, ponieważ wymusza życie w ciągłym udawaniu i nie pozwala być sobą.

Należy wziąć pod uwagę jeszcze jedną rzecz - w czasach komunistycznych wszyscy byliśmy, jeśli można tak rzec, czujniejsi. Niewątpliwie mogło się zdarzyć, że podejrzewaliśmy kogoś bezpodstawnie, ale wynikało to z chęci wyeliminowania groźby infiltracji przez podstawione osoby.

Ktoś mógłby zapytać, dlaczego przypominam te czasy. Czasy komunistyczne (sensu stricto) są już przeszłością, ale to nie oznacza, że coś się radykalnie zmieniło. Owszem - zmieniły się metody, ale cel

cd. na str. 8



Ołtarz w Zamościu podczas wizyty papieża Jana Pawła II (12 VI 1999 r.). Ośmielamy się twierdzić, że jego kształt architektoniczny miał insprację masońską. Na następnej stronie zamieszczamy paralelne konfiguracje „Wszystkowidzącego Oka” masonerii w jej różnych symbolach. Ryciny pochodzą z książki dr Cathy Burns: „Masonie and occult Symbols illustrated”, 1998, Published Sharing, ISBN 1-891117-12-2. Pierwowzorem jest „pieczęć Illuminatorów” Weishaupta, utrwalona na jednodolarowym banknocie, której reprodukcję także zamieszczamy. choć zaledwie mikronowy procent ludzi wie, skąd się wzięła i co oznacza. Z braku miejsca nie możemy objaśniać każdego z reprodukowanych symboli „Wszystkowidzącego Oka”.

Henryk Pająk
„Nowotwory Watykanu”, wyd. Retro, Lublin 2004

Kto winien?

Działo się to dawno, dawno temu... a może nie tak dawno? Na symbolicznym Wschodzie kraju „X”, w pewnym mieście o nazwie „Y”. Działała tam pewna loża o dużych, można już śmiało powiedzieć historycznych nawet tradycjach, w której to loży od pewnego czasu układało się nie najlepiej. Z różnych przyczyn, w których naturę (jako, że jesteśmy „niezależnym, liberalnym Pismem Przyjaciół Sztuki Królewskiej”) zagłębiać się nam wręcz nie wypada - frekwencja počęła,

że tak delikatnie ujmiemy „słabnąć”.

I słabła, biedaczka coraz bardziej. Aż wreszcie Czcigodny Mistrz osobiście obdzwoił wszystkich członków zapraszając na najbliższe spotkanie.

Niestety, gdy nadszedł wyznaczony dzień, na posiedzenie nie przyszedł nikt.

W tej sytuacji Czcigodny Mistrz, nie widząc innego wyjścia, postanowił ogłosić „uśpienie” czyli faktyczną śmierć loży.

Do wszystkich członków loży zesłał więc imienne zaproszenia na uroczystość pogrzebową, podczas której - jak zapowiedziano w klepsydry nekrologowej, ujawnione

być mają nie tylko przyczyny zgonu loży, ale i osoby za ten stan rzeczy odpowiedzialne.

Ta zapowiedź podziałała. W oznaczonym terminie zjawili się niemal komplet. Zgodnie z uświęconym obyczajem, po środku sali stała trumna, przybrana liśćmi akacji. Płonęły symboliczne świece. Była też tablica informująca o tym, że oto Szanowna Loża (nazwijmy ją, powiedzmy „Z”) odchodzi na symboliczny Wieczny Wschód.

Drodzy Bracia! Powiedział Czcigodny Mistrz, każdy z nas jeśli pragnie się dowiedzieć, kto jest odpowiedzialny za śmierć naszej loży, niech podjedzie na Wschód, uchy-

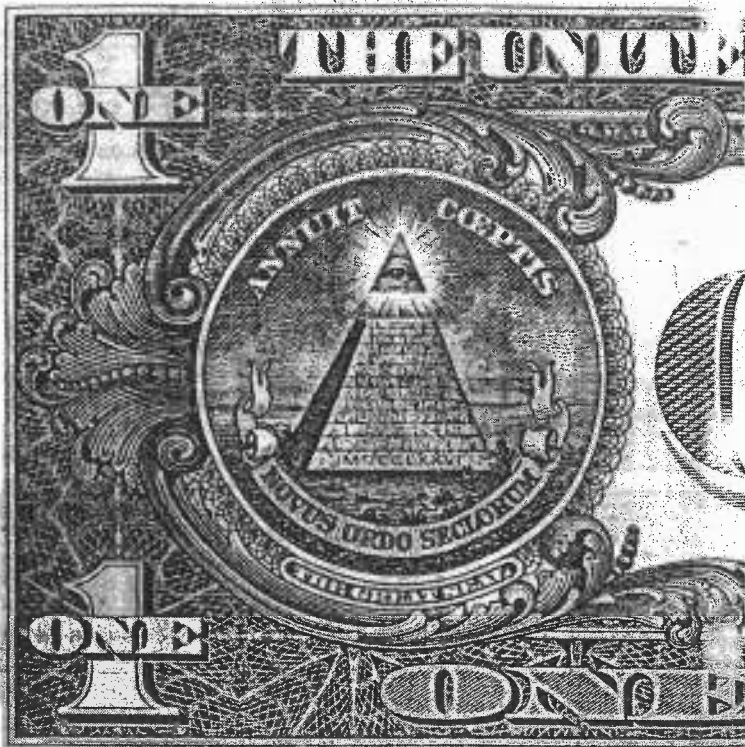
li wieko trumny i zajrzy do środka! Ja uczynię to jako pierwszy...

I uczyni! Uchylił wieko, zajrzał do środka. I natychmiast zasnął z powrotem.

Za przykładem Przewodniczącego szli kolejni żałobnicy.

A co było w trumnie? - zapytacie... Lustró. Zwyczajne lustro.

P.S. Aby nie było żadnych niepotrzebnych skojarzeń czy innych nieporozumień, albo pretensji o naruszaniu „tajemnicy lożowej” informuję uprzejmie, że historię powyższą przeczytaliśmy w jednym z niemiecko-języcznych pism masońskich.



LUF INFO

1C 6004

Bulletin du Groupe National Suisse de l'UFL-1905



Sommaire :

Agenda / Ici et ailleurs/ Nouvelles	2	Sorcères ou femmes sages ?	13
Editorial/ Message du président	3	Un de ces jours...	14
Evènement (jumelage LUF Pologne)	4	Le coin des livres/Être jeune	15
Congrès international UFL-1905 Athènes/ F. M. ..., cible privilégiée de la presse suite)	5	Adresses des sections	16
Chômage et Franc-maçonnerie	6		
1943 / Ursymbolik am Beispiel Neukaedoniens	9		
Franc-maçonnerie un parcours initial: que	11		

Vous n'êtes pas membre mais désirez recevoir notre bulletin «Luf-Info» ?
(3-4 parutions/année, abonnement ann. fr.: CHF 15,-)
Nous serons heureux de vous compter parmi nos abonnés!
Inscriptions au Tél. 079 227 30 73 ou marou@freesurf.ch

Przed 100-leciem UFL

Budujemy mosty

...I Bóg stworzył człowieka, a po tym człowiek stworzył wolnomularza... I wspólnie stworzyli Utopię, i zaczęli budować.

Budowali świątynie, pałace, grobowce, katedry...

W roku 1905 (wg Kalendarza profańskiego) niektórzy, utopistyczni budowniczości, zaczęli budować mosty, ponieważ takich mostów zbudowano już wiele w przeszłości!

Mosty, obojętnie czy z kamienia, betonu czy metalu, tworzą struktury służące pokonywaniu istniejących przeszkód różnego rodzaju. Czy nasi przodkowie, przystępując do budowy takich struktur mieli na myśli ich linię horyzontalną, czy wertykalną? W zasadzie bowiem, przy budowie mostu trzeba mieć na uwadze zarówno obciążenia natury wertykalnej, jak i ciężar horyzontalny i jego wpływ na podłoże. Nie wdając się w zawiłe, techniczne szczegóły związane z budową każdego zwyczajnego mostu. Pomówmy o tych, których budowę zaczęli nasi Bracia dokładnie przed stu laty. Zaczęli wbrew obowiązującym wówczas regułom, wbrew temu, że nazywano ich heretykami. Ich siłą był entuzjazm oraz wiara w słuszność swoich racji, co pozwoliło im przezwyciężyć istniejące opory i przeszkody. Patrząc śmiało na przód urzeczywistnili to, co uważano za utopię.

Zbudowali mocne, solidne filary.

Tak silne, jak te, które służyły Atlasowi do umocnienia jego starożytnych konstrukcji. Budowali mosty umożliwiające podróżnym wolne pokonywanie istniejących przeszkód tam i w drodze powrotnej. Mosty, dzięki którym można się poruszać na własną odpowiedzialność, według własnego wolnego wyboru i z własnej woli. Poszukując dróg do powszechnego, uniwersalistycznego Braterstwa, to oni właśnie po zakończeniu obrad Światowego Kongresu Esperantystów w Boulogne-sur-Mer powołali do życia naszą Ligę. Nazywała się ona wówczas „Esperanto Framasona”. I dopiero w roku 1913 zaistniała jako Uniwersala Framasona Ligo.

To oni przekazali nam w spadku ideę budowy mostów. Mostów, dzięki którym woli i świadomości tej wolności wolnomularze mogli by poznać się lepiej i porozumieć ponad wszelkimi istniejącymi granicami oraz przeszkodami czy podziałami.

Abyśmy byli i działali razem. Abyśmy się poznali lepiej. I abyśmy zespolili nasze siły w jedność.

Nie chodzi przy tym o to, abyśmy powieliali te prace, które odbywamy na naszych spotkaniach lożowych. Nie! Chodzi o to, abyśmy poczęli myśleć wspólnie o tym świecie, który otacza nas dzisiaj, i który będzie nas otaczał jutro. O ludziach, o Ziemi, o Universum, o problemach nauki, która próbuje nas w tej materii oświecić.

O sprawach wiary, tej której bazuje na ludziach, na materii czy na metafizyce.

Idzie o Braterstwo, o twórczą wymianę myśli, abyśmy się mogli lepiej poznać wzajemnie i służyć sobie pomocą, tam gdzie idzie o rozwój zarówno jednostki jak i w wymiarze kolektywnym.

Abyśmy mogli razem pracować, zbierać plony i wspólnie świętować.

Oto - w największym skrócie treść tego dziedzictwa, które przekazali nam twórcy i założyciele Uniwersalnej Ligi Masońskiej. Przeżywajmy więc Ligę taką jaka ona jest. I nie mylmy jej z jakimś klubem, spółdzielnią zawodową, lożą czy też obediencją.

UFL-1095 ma o wiele większe ambicje. Lidze chodzi o to, aby stała się ona pomostem dla prawdziwie braterskich i uniwersalistycznych kontaktów, wymiany komunikacji pomiędzy wszystkimi wolnomularskimi strukturami.

Dzisiejsze filary mostów między nami niestety poczynają się sypać, mosty się chwieją, a liczba chętnych do ich wykorzystania nie zwiększa się, lecz maleje...

Moi Bracia i Siostry, nadeszła pora czynu!

To od nas zależy, aby filary mostów znów się umocniły. Tak, abyśmy z tych mostów korzystali z dumą i poczuciem wolnomularskiej

odpowiedzialności za cenny dorobek przekazany nam przez dziedzictwo.

Jako masoni, jesteśmy ludźmi wolnymi, a „dobrych obyczajów” powinniśmy być także. A więc podejmijmy to śmiało wyzwanie, zjednoczmy się wokół tej budowy mostów ponownie. Podejmijmy konkretne działania w konkretnych sprawach, i realizujmy te cele w sposób kreatywny. Przedstawiamy realne, konstruktywne pomysły, odpowiadające naszym przekonaniom, oraz entuzjazmowi z których chcemy wbrew istniejącym podziałom i przeszkodom stworzonym aby nasz świat dzielić po to, by lepiej nad nim panować!

Czy nie mówi się u nas, że „Sami jesteśmy bezsilni - ale wspólnie możemy zrobić wszystko!?” Nie czekajmy więc do jutra. Opuśćmy nasze wieże z kości słoniowej. Odważnie, zbrojni w siłę naszych przekonań przydadmy nowej mocy mostom i pomostom łączącym wolnych mularzy na całym świecie. Weźmy w dłonie służące nam narzędzia i zabierzmy się po prostu do roboty. Teraz. I Razem.

Sonja Baumgartl
UFL-Szwajcaria

Deska ogłoszona w L. Sapienta Cordis Na W.: Wiednia, Wielki Wschód Austrii

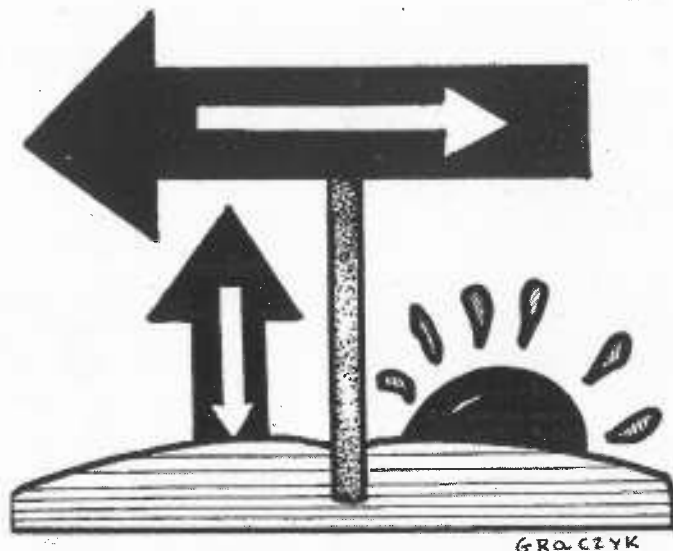
został taki sam - za wszelką cenę rozbić Kościół od wewnątrz.

Podstępna agresja

Pobieżna nawet analiza okresu zwanego potocznie „czasem przemian ustrojowych“ może dać nam wiele do myślenia. Aby taką analizę przeprowadzić, musimy przypomnieć sobie, choćby w największym skrócie, jak wprowadzano „nowinki“ w zakresie moralności. Musimy wrócić do lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, by zrozumieć, co w tej chwili się dzieje i dlaczego tak łatwo jest atakować Kościół.

Otóż, gdy uroczyste ogłoszono upadek komunizmu (co nie miało nic wspólnego z faktami), zaczęto zachłystywać się tym, co wtedy nazwano wolnością. Wolność siłą rzeczy kojarzyła się z „zachodnim sposobem życia“, a że przez całe lata Zachód był idealizowany, przeciętny człowiek uważał, że wszystko, co mu się podaje w ładnym opakowaniu i kojarzy się w jakiś sposób z Zachodem, jest właśnie tym wymarzoną wolnością.

Zaczęło się od wprowadzenia pism pornograficznych. Na początku była debata - nawet dość głośna - czy mogą być sprzedawane w każdym kiosku. Mówiono, że nareszcie nie będzie hipokryzji, bo i tak rozpowszechniano takie pisma, ale po kryjomu, a każdy jest wolny, kto zechce, może czytać, kto nie chce - niech nie czyta. Był to okres pisania nowej Konstytucji, okres sporów o kształt korony orła białego i wartości chrześcijańskie. Póki te spory trwały, pisma bez przeszkód wchodziły do kiosków, rejestrowano „agencje towarzyskie“ i zalewano Polskę ich reklamami. Nikt na to specjalnie nie reagował. Ci, którzy mieliby coś do powiedzenia, zajmowali się określaniami, czym są wartości i które są chrześcijańskie, a które nie. Zwyczajni ludzie tymczasem się zastanawiali, co jest prawdą i jak mają się zachować. Byli wtedy jeszcze odważniejsi kioskarze, którzy odmawiali sprzedaży gazet i pism pornograficznych, ale zostali sami. Nikt nie stanął po ich stronie. Pamiętam, jak często zadawano pytanie: „Czy sięganie do pism pornograficznych jest grzechem, a jeśli tak, to jakim grzechem?“. Niezmiennie odpowiadałam, że jest grzechem ciężkim, bo poniża człowieka i poniewiera godność. Jak wielu innych czekałam, kiedy Kościół zacznie grzmieć z ambony i potępi liberalne i niemoralne wydawnictwa, kiedy jasno postawi sprawę. Czas miał i przyzwyczailiśmy się do tego, że nie tylko pisma stricte pornograficzne, ale każde pismo młodzieżowe czy ko-



biece zajmuje się sprawami seksu, że seks wręcz zalewa nas ze wszystkich stron. Olbrzymie uliczne reklamy atakowały naszą wrażliwość. Na początku to nas drażniło, potem przyzwyczailiśmy się do nich i przestaliśmy zauważać, że swoim przekazem niszczą wrodzone i wychowane poczucie wstydu.

Gdy już ustalono przez „demokratyczne procedury“ kwestię wartości, przyszedł czas wprowadzania nowych pojęć i nowych „wartości“. Przyjęło się mówić o „kochających inaczej“. Najpierw z odrobiną ironii, a potem to pojęcie zostało zaakceptowane. Nie wiem, czy ktoś pamięta, że te wszystkie „inaczej“: „kochających inaczej“, „sprawnych inaczej“, „mądrych inaczej“ itd., używał sarkastycznie Wojciech Cejrowski w swoim programie „WC - kwadrans“. Pojęcia, które miały ukazać absurdalność, nagle stały się normalnymi określeniami. Zapomniało, że to „inaczej“ miało negatywne brzmienie.

Potem przyszły czasy Big Brotherów i innych wynaturzeń. Czasy „instalacji artystycznych“ i błuzniczych pokazów mody. Znowu się zawiedliśmy, bo czekaliśmy na jasne i proste określenie, czym to wszystko jest. Nie przesadzę chyba, jeśli powiem, że czekaliśmy na ostrą reakcję Kościoła, na ekskomunikę dla bluźnierców. Nie było i dalej nasze poczucie moralności było wystawiane na próbę. W końcu przestaliśmy być pewni, czy jeszcze wiemy, co jest dobre, a co złe.

Potem była tolerancja i wymóg tolerancji dla wszystkiego i każdego, kto chce szerzyć swoją moralność „inaczej“. Pojawiła się Orkiestra Jerzego Owsiaka i uwierzono, że jest to dobre dzieło. Nobliści W. Szymborska i nieżyjący już Cz. Miłosz wygłosili pochwały dla zbroczenia homoseksualizmu i nie spotkało ich za to powszechne potępienie. Lata mijały, a moralność tymczasem została zakwestiono-

wana. Nawet zaczęto mówić o moralności tradycyjnej i nowoczesnej. Zapomniano, że czyn albo jest moralnie dobry, albo zły.

Atak na kapłanów

Gdy rozmiękczone umysły, przyszedł czas na atak na ludzi Kościoła. Najpierw wszystko zakwestionowano, a potem obwiniono właśnie ludzi Kościoła o brak moralności. Obwiniono tych, co stawali i stają po stronie prawdy. Tak jak kiedyś atakowano księdza Jerzego Popiełuszkę, aż w końcu zabito go bestialsko. A atakowano go dlatego, że mówił prawdę.

Zastanawiam się, co by było, gdyby dwadzieścia lat temu wrogowie Kościoła zarzucili księdzu Jerzemu molestowanie nieletnich chłopców. Wtedy ta metoda nie była „w modzie“, nie dlatego, że jej nie znano. Po prostu wtedy byłaby nieskuteczna. Nikt by nie uwierzył, nie zachwiałoby to autorytetu ks. Jerzego. Wtedy, by zamknąć komuś usta, prościej było wyeliminować go fizycznie. Czasy jednak się zmieniły i teraz każdy jest gotów uwierzyć w byle kalumnię rzucaną pod adresem duchownego.

Grunt pod łatwowierność, grunt pod wiarę w rzekomą niemoralność księży przygotowywano starannie. Niemały wpływ miało właśnie to powolne, ale skuteczne wprowadzanie treści nasyconych seksem i perwersjami, o których wspominałam powyżej. Bowiem jeśli przeciętny czytelnik karmi się na co dzień niemoralnymi opowiastkami, i to niezależnie od płci, jeśli na ulicznych billboardach ogląda całujących się mężczyzn i półnagie kobiety, dlaczego miałby nie uwierzyć, że celibatariusze też mają takie „przygody“.

Ale to nie wszystko. Zarzuty o niemoralność księży wcześniej niż u nas pojawiły się na Zachodzie. Były zarzuty w Australii, w USA, w Austrii, w Niemczech, we Francji.

Nie zajmuję się niestety białym wywiadem. Teza, którą poniżej stawiam, jest zdroworozsądkowa. Otóż jestem głęboko przekonana, że jeśli w naszych krajach, a szczególnie w Polsce, tak bardzo niebezpiecznej niegdyś dla ZSRS, a dziś dla innych sił przez swoją wierność Kościołowi, poddawano oficerów służb specjalnych i kierowano ich do infiltracji duchowieństwa, to ten sam proceder miał miejsce i w innych krajach. Nie musieli to być konieczni ludzie służb sowieckich. Nie tylko ZSRS walczył z Kościołem. Są inne instytucje i organizacje, których celem jest rozbicie Kościoła. Związane są one najczęściej w ten czy w inny sposób z organizacjami masonskimi lub paramasonskimi. Jest wielce prawdopodobne, że te instytucje miały i mają swoich ludzi, którzy wślizgują się w szereg duchowieństwa i albo są prawdziwymi homoseksualistami, albo ich zadaniem jest udawać zbrocenie. Mogą to być ludzie, którzy w najbardziej „niewinny“ sposób będą zaśmiecać komputery zdjęciami pedofilskimi albo zachęcać swoich kolegów do niemoralnych zachowań. Wystarczy wprowadzić kilku prawdziwych homoseksualistów i w ten sposób ranić Kościół. A jednocześnie przygotowywać grunt, by uderzyć w tych duchownych, którzy są wierni Kościołowi i dlatego najbardziej przeskadzają. Przeciętny człowiek rozumuje mniej więcej tak: „Jeśli jeden przyznał się otwarcie, że jest homoseksualistą, to dlaczego tamten nie miałby nim być również“. W ten sposób autorytet duchownego zostaje zakwestionowany i ludzie się gubią. Nie wiedzą, co jest dobre, a co złe. I gdy przez te wszystkie lata zabrakło zdecydowanego i wspólnego głosu pasterzy, wierni tracą coraz bardziej orientację.

Podkreślam - brakuje wspólnego głosu pasterzy. Jest jednak wielu takich, którzy nie boją się powiedzieć prawdy. Takie jest Radio Maryja z Ojcem Dyrektorem na czele. Odważnie już przez tyle lat głosi prawdę. Bez strachu i bez łąku.

Potrzeba nam czujności i jednoznacznie wyzuczenia na głos prawdy. Prawda zawsze się obroni, bo jest prawdą. Prawda jest zawsze taka, jak niezmienna nauka Kościoła. A jeśli ktoś mówi, że czasy się zmieniły, i wprowadza nową moralność, nie bądźmy łatwowierni. Nie wierzy tym, którzy chcą zniszczyć dobre imię odważnych duchownych.

Może ktoś powie, że hołduję „teorii spiskowej“. Tylko że to nie żadna teoria, to są po prostu fakty.

Maria K. Kominek

Cezary Leżeński

Był bratem własnego ojca

Cała historia zaczęła się bardzo romantycznie i z nie najmniejszymi komplikacjami. Student Instytutu Górniczego w Petersburgu, później jego asystent i docent, Hipolit Gliwic staje się członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej. Tego jej odłamu, któremu przewodził Józef Piłsudski. Stawiała ona „na czołowym miejscu zadanie odzyskania niepodległości jako niezbędnego warunku poprawy bytu mas pracujących oraz opowiadająca się za parlamentarną demokracją...”

Czynnie uczestnicząc w tym ruchu niepodległościowym Hipolit Gliwic organizował przerzuty broni z Rosji do tzw. Kongresówki z przeznaczeniem dla potrzeb Organizacji Bojowej J. Piłsudskiego. W tym czasie zakochuje się w Wiktorii Haykowiecównie. Urodziła się ona w Niżnym Nowogrodzie a była córką i wnuczką zesłanych na Sybir powstańców 1863 roku.

Planują ślub i postanawiają, że odbędą się on wkrótce. Ustala ją nawet termin. Ale jest rok 1905, rok wrzenia rewolucyjnego. Agenci carskiej ochrony weszła i śledzą. Hipolit zostaje aresztowany i osadzony w słynnym petersburskim więzieniu Kriesty. To pozornie przekreśla zawarcie związku małżeńskiego. Ale tylko pozornie.

Gliwicowi groziła rozprawa sądowa. Ponieważ oskarżenie o przerzuty broni było bardzo poważne, a udowodnienie winy groziło zesłaniem na Syberie, Wiktorii postanowiła wziąć ślub w więzieniu. Dlaczego? Z bardzo prostej przyczyny – tylko jako żona mogła towarzyszyć skazanemu na zesłanie Hipolitowi.

Z początku wyglądało na to, że władze więzienne nie pozwolą na taką ceremonię. A tu wręcz przeciwnie. Udziału w niej odmówił tylko ksiądz katolicki, w sposób stanowczy i bezapelacyjny.

„Skoro pan młody jest aresztowany za działalność rewolucyjną o żadnym ślubie nie może być mowy – oświadczył.

Wiktorii nie zastanawiała się długo. Mimo że wychowana w wierze katolickiej, zwróciła się do pastora kalwińskiego. Ten urzeczony pełną ofiarnością i poświęceniem pięknej panny zgodził się bez żadnych wątpliwości. Oczywiście obydwoje młodzi zmienili wyznanie. A wkrótce, bo w sierpniu 1907 roku przychodzi na świat ich syn Tadeusz. Ten sam pastor chrzci niemowlę. Rodzina staje się protestancka.

Mieszkają nadal w Petersburgu, bo szczęśliwym trafem dowody uzyskane przez agentów nie wystarczają do skazania nawet stronnictwu sądowi carskiemu. Hipolit Gliwic zostaje wypusz-

czony na wolność. Jednakże jako podejrzany i bezustannie inwigilowany musi ograniczyć działalność niepodległościową. Wkrótce, bo w 1911 roku przenosi się do Warszawy.

I tu zaczyna się historia, w której jeden z jej bohaterów miał stać się bratem własnego ojca.

Hipolit, przed przenosinami do Warszawy, a więc tuż przed 1911 rokiem, zostaje inicjowany w polskiej loży „Orzeł Biały” w Petersburgu, podlegającej jednak nie rosyjskim masonom lecz Wielkiemu Wschodowi Francji. W Warszawie od 1920 do 1938 był członkiem loży „Kopernik”. Podległej Wielkiej Loży Narodowej Polski. W ten sposób i w dziedzinie wolnomularstwa powrócił do ojczyzny. Wkrótce nawiązał ściśle kontakty z zagranicznymi ośrodkami zdobywając coraz to wyższe funkcje. Już w 1922 roku nadano mu stopień kawalera różanego krzyża. W latach 1933 do 1938 pełnił funkcje wielkiego sekretarza i wielkiego namiestnika Wielkiej Loży Narodowej Polski. Ostatecznie osiągnął 33 stopień wtajemniczenia wolnomularskiego stając się członkiem Rady Najwyższej i Najwyższej Kapituły. Wielokrotnie reprezentował polską masonerię na arenie międzynarodowej.

Mimo takiego zaangażowania ojca w ruch wolnomularski, jego syn Tadeusz nie wiedział o przynależności ojca do zakonu. W domu bowiem nigdy nie wspomiano o masonerii. Dlatego, kiedy ojciec zaproponował 27 letniemu Tadeuszowi wstąpienie do loży, zdziwienie syna było wielkie.

Przyjęty do loży „Kopernik” doszedł dzięki pilności do stopnia mistrza po dwóch latach tj. w listopadzie 1936 roku. Swemu zaangażowaniu zawdzięcza, że w 1937 roku został zastępcą wielkiego sekretarza do spraw zagranicznych. W związku z przeniesieniem się na Śląsk był członkiem loży „Staszcz” w Sosnowcu, do czasu rozwiązania polskiej masonerii dekretem prezydenta RP Ignacego Mościckiego z dnia 22 listopada 1938 roku. Ponieważ dekret przewidywał karę do 5 lat więzienia za udział w organizacjach tego typu, obaj

bracia, czyli ojciec i syn zawiesili swą działalność w lożach.

Zawiesili, ale praktycznie rzecz biorąc, jak każdy dobry mason nie przestali być wolnomularzami. Hipolit Gliwic w czasie okupacji niemieckiej działał w niewielkiej grupie-kółku masonskim, która od 1939 do 1944 zbierała się w warszawskim mieszkaniu byłego przewodniczącego loży „Prawda” – Józefa Ziabickiego.

Masońska kariera Tadeusza Gliwica potoczyła się innym, bardziej barwnym, wręcz przygodowym trybem. W czasie wojny przeżył okupację w Małopolsce i nie uczestniczył wraz z ojcem Hipolitem w konspiracyjnych posiedzeniach u brata zakonnego Ziabickiego. Za to zapisał się wręcz historyczną działalnością masońską w PRL.

Chwile te tak wspominał sam Tadeusz Gliwic w jednym z wywiadów:

„Jakiś czas po wojnie, znów zaczęliśmy się spotykać w bardzo małych grupkach. W owym czasie na terenie Warszawy ja byłem najmłodszym z przedwojennych członków wolnomularstwa. Powoli nas ubywało; starsi bracia zaczęli się zastanawiać, co robić dalej. Chodziło nam wówczas o to, aby utrzymać mały związek masonerii polskiej zachowując tym samym ciągłość jej działania od 1938 roku. I wtedy, 12 lutego 1961 roku została obudzona loża – matka „Kopernik” w Warszawie. W jej obudzeniu brał udział Mieczysław Bartoszkiewicz, przed wojną sekretarz Rady Najwyższej Polski, to jest najwyższej masońskiej organizacji w kraju, sam mason 33 stopnia rytu szkockiego. Jemu to jako sekretarzowi Rady Najwyższej Wielki Komandor Stanisław Stempowski przekazał upoważnienie do obudzenia wolnomularstwa, jeśli kiedyś znał to za właściwe i możliwe...”

Ponieważ czasy były wyjątkowo trudne, rygorystycznie przestrzegaliśmy następujących zasad: liczba czynnych członków loży nie mogła przekroczyć piętnastu i tylko w miarę „ubytków” inicjowało się nowych braci. Zbieraliśmy się dość rzadko, po-

nieważ znaczna grupa naszych członków, zwłaszcza tych młodszych, działających w opozycji demokratycznej, było pod obserwacją. Wielu z nas musiało więc gubić swe „ogony”. Dlatego też następną była zasada, że spotykamy się tylko w mieszkaniach o co najmniej dwóch wyjściach; w dużych domach, których górne piętra miały połączenia między klatkami schodowymi. Kolejna zasada, zresztą dość zabawna, dotyczyła nakrytego stołu, żeby można było udawać, że to spotkanie towarzyskie”.

W prywatnych kontaktach Tadeusz Gliwic dodawał, że oczywiście w czasie tych wolnomularskich prac warszawskiej loży „Kopernik” nie zakładali fartuszków, ani insygniów masońskich. Obowiązkowe węgielnica i cyrkiel były wycięte z papieru, aby w razie najścia Służby Bezpieczeństwa można było ją szybko zjeść. Do spełnienia tego gestu zapewniającego pełną konspirację był wyznaczony jeden z członków loży. O posiedzeniu zawiadamiano się osobiście przez swego rodzaju sztafetę, jak ognia unikając listów bądź telefonów. Pełna konspiracja. Podobnie zachowano daleko posuniętą dyskrekcję w kontaktach z macierzystą lożą „Kopernik”.

„O naszym obudzeniu – wspomina Tadeusz Gliwic – została jedynie poinformowana, i to dopiero w 1963 roku, loża „Kopernik” na Wschodzie Paryża. Gdy w 1963 roku znalazłem się w Paryżu, profesor Langrod, przed wojną i tuż po wojnie profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego i członek loży krakowskiej „Przesąd Zwycięzony”, zorganizował mi spotkanie z niewielką grupką braci paryskiego „Kopernika”. Dla bezpieczeństwa zostałem przedstawiony tylko jako członek polskiej loży, bez podania nazwiska światowego” ani nawet zakonnego oraz miasta, z którego pochodzi. Szczęśliwie poza Langrodem nie było nikogo z ludzi, którzy mogli mnie znać i rozszyfrować. Ustaliśmy wówczas zasadę, że loża paryska w razie jakichś represji będzie próbowała pomagać polskim braciom w kraju. To był nasz pierwszy kon-

takt. Kilka lat później kontakty się rozszerzyły i nasi bracia, wyraźnie podając kogo reprezentują, występowali na zebraniach Loży-Matki Polskiej „Kopernik” w Paryżu.

Tak więc przez wiele lat prze-trwał pod rządami PRL głęboko zakonspirowany „Kopernik” w Warszawie”. Znaleźli się w tej loży, poza Gliwicem, profesoro-wie: Marian Serejski, historiozof; Jan Kielanowski, genetyk; Edward Lipiński, ekonomista; Jan Józef Lipski, polonista; Klemens Szaniawski, filozof; a także Jan Wolski, spółdzielca; Antoni Słonimski, literat; Erazm Samotyha, bibliotekarz; Jan Kulski, wiceprezydent Warszawy, współpracownik prezydenta Starzyńskiego oraz kilku innych.

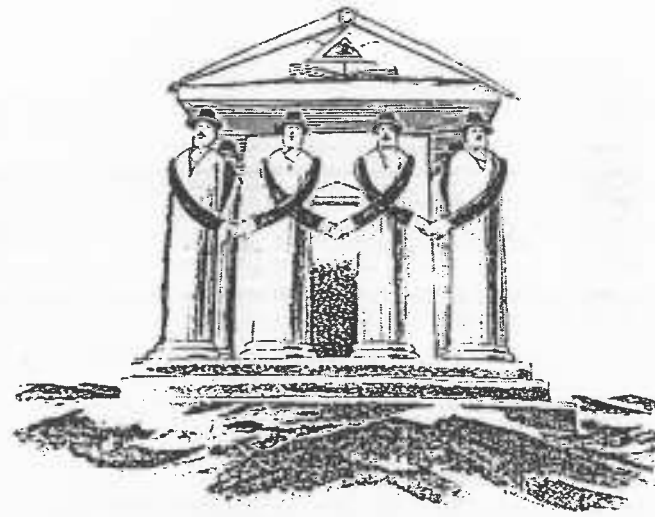
Tadeusz Gliwic, zmarły w 1994 roku w wieku 87 lat, doszedł do najwyższych stopni i funkcji. W latach 90. był wielkim mistrzem Wielkiej Loży Narodowej Polski, zaś stopnie od 4. do 32. nadano mu w październiku 1991 roku w „American Military Scottish Rite Bodies w bazie wojskowej USA w Plankstadt koło Mannheim w Niemczech. Najwyższy, 33 stopień, otrzymał w październiku 1993 roku w Radzie Najwyższej USA w Waszyng-tonie.

Tyle o drodze rozwoju mason-skiego obu braci Gliwiców. A właściwie aż tyle. Kim jednak byli w życiu osobistym i „cywilnym”, czyli jak to wolnomularze mówią: życiu profańskim.

Hipolit Gliwic, poza kartą naukową wcale nie zamkniętą w Instytucie Górniczym w Petersburgu, pracował w dyplomacji, jako chargé d'affaires ambasady RP w Waszyngtonie (1923-1925), zaraz po zamachu majowym Piłsudskiego, który poparł jak wielu polskich masonów, został w rządzie prof. Bartla (też wolnomularza) ministrem przemysłu i handlu. Do następnego gabinetu nie wszedł wskutek różnicy zdań a Marszałkiem. Gliwic sprzeciwił się bowiem podwyższeniu gaży wyłącznie wojskowym uważając, że może być to potraktowane jako „zapłata za maj”.

Hipolit zawsze wykazywał w polityce dużą niezależność poglądów, a był jakby się to dziś powiedziało liberałem. Zapewne dlatego w latach 1927-1929 został delegatem rządu RP do Ligi Narodów, a wreszcie przez dwa lata (1928-1930) piastował urząd wicemarszałka senatu.

Tak więc w dziedzinie społeczno-politycznej był postacią znaczącą, można by powiedzieć: z pierwszych stron gazet. Jednakże w miarę jak władze Polski stero-wały w kierunku autokratycz-nym, a klimat politycznych



RYS. BLAUIE BLAUIER

kontrowersji ulegał zaostreniu, Hipolit Gliwic wycofał się ze wszystkich stanowisk urzędowych i politycznych.

Ale pozostały mu – jak pisze Adam Pragier – różnorakie pola działania:

„Ale i wówczas jeszcze pozostawały mu różnorakie pola działania. Był od 1928 r. profesorem Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie, gdzie wykladał politykę ekonomiczną i prowadził seminarium, poświęcone głównie zagadnieniom gospodarki światowej. Później wykladał także na Uniwersytecie lwowskim i w Szkole Nauk Politycznych przy Uniwersytecie krakowskim. W r. 1936 utworzył na Wolnej Wszechnicy Polskiej studium migracyjno-kołonialne, które prowadził aż do wybuchu wojny. Od r. 1935 był dziekanem wydziału polityczno-społecznego Wolnej Wszechnicy Polskiej.

Ta praca akademicka, prowadzona w szerokim zakresie i naraz w trzech miastach, nie wyczerpywała jednak w pełni energii Gliwica. Miał jeszcze czas na poważną pracę pisarską. Po świeżo ukończonym wielkim dziele o gospodarce światowej, podjął całkiem nowe badania w zakresie polityki handlowej polskiej po rozbiorach. Spodziewał się wysnuć stąd zespół stałych linii kierunkowych, pozwalających określić przyszłą politykę handlową Polski. Te badania przerwała mu wojna.

Prócz tego i jak gdyby mimochodem, powracał Gliwic do swoich, jak mówił „dziedzicznych upodobań” – do przemysłu. Był prezesem zarządu paru wielkich spółek akcyjnych, zaglądał do ich biur i uczestniczył w ich naradach. Dawało mu to zadowolenie pracy bezpośredniej w budowie gospodarstwa. Był w sferach przemysłowych niezwykle ceniony i uważany za swojego. Pozwalało mu to być w wielu

wypadkach niejako arbitrem, rozsądającym bezstronnie i bezinteresownie sprzeczne sprawy.

Taka działalność, która wypełniałaby czas pracy oraz pochłaniała energię kilku ludzi, była możliwa tylko przy niezwykle usposobieniu Gliwica. Pracował niezwykle szybko i pewnie, - oddzielając staranie czas zajęć przemysłowych od wykładów oraz dzień pracy od nocy - która była przeznaczona na pisanie. Sypiał zaledwie parę godzin, i co najdziwniejsze, całkowicie mu to wystarczało. Mówił, że swojej „niezdolności do snu” zawdzięcza co najmniej jedną trzecią swego czasu pracy”.

Hipolit Gliwic zajmował się nie tylko przemysłem, pracami naukowymi z dziedziny ekonomii czy napisaniem świetnej trzymowej pracy „Podstawy ekonomiki światowej”, która wydana została dosłownie w przeddzień wojny. Przede wszystkim był człowiekiem, któremu na wszystko starczało czasu. Na działalność polityczno-społeczną, prace naukową i ożywione życie towarzyskie. A na tym ostatnim polu był także wysoko ceniony jak i na poprzednich. Był pogodny, opanowany, dowcipny, umiał znaleźć się w każdej sytuacji. Cechowała go tak zwana „zimna krew” ułatwiająca rozstrzygnięcie spraw nieraz bardzo kontrowersyjnych. Przy tym żywość charakteru objawiała się brakiem umiejętności siedzenia dłużej na jednym miejscu. Przynajmniej raz w tygodniu bywał w Krakowie lub we Lwowie, przynajmniej dwa-trzy razy w miesiącu w Londynie bądź Paryżu, a kilka razy na rok w USA. Zresztą tego wymagały jego liczne funkcje.

Miał tylko wręcz urzekającą słabość. Lubił się ubierać z wyszukaną elegancją i to w sklepach światowych firm. Kapeluszy musiał być od Lock'a z Londynu, buty od Thomasa, a ubrania z Sa-

ville Row. Przy tych zakupach, jak i przy innych, nie liczył się z pieniędzmi, ale też ich nigdy nie skąpił potrzebującym. Wiadomo, że z udziałów w różnych spółkach, z racji zajmowanych stanowisk i wydawanych prac naukowych na wszystko mu starczało.

Warto tu przytoczyć ciekawe rozważania Anny Łady na ten temat:

„Przeprowadźmy pewne obliczenia: w roku 1930 średnia płaca na stanowisku kierowniczym w sektorze bankowym i ubezpieczeniach wynosiła od 1000 do 1999 zł, etatowy funkcjonariusz państwowy na stanowisku dyrektora departamentu zarabiał 1050 zł, profesor zwyczajny dostawał 1114 zł miesięcznie. Biorąc pod uwagę fakt, że Hipolit Gliwic znajdował się w rozpatrywanym przeze mnie roku 1930 w Radach Nadzorczych bądź też Zawiadujących okolo 20 spółek i pracował, na uczelni wyższej można szacować, że zarabiał okolo 10000 zł. miesięcznie, podczas gdy górnik przodkowy pracujący na akord, pracując 6 dni w tygodniu mógł zarobić 3600 zł. rocznie. Dla podkreślenia wysokości tych zarobków można wspomnieć, że w tamtym czasie w Warszawie 1 kg mąki kosztował 0.98 zł a kg wołowego 3.19zł.”

Mógł więc pomagać tym, którym nie starczało na podstawowe potrzeby życiowe. Ciekawe informacje przytacza ba ten temat Adam Pragier:

„Nie zwracanie uwagi na pieniądze miało nieraz osobliwe następstwa w stosunku do studentów. Gliwic sam nie zasnął nigdy biedy studenckiej i wiedział o niej niejasno ze słyszenia. Gdy zwracali się do niego, jako do dziekana, o pomoc studenci Wolnej Wszechnicy, nie obfitujący w dostatki, z początku zazwyczaj trudno mu było się zorientować o co im idzie. Szło zaś zazwyczaj o zwolnienie od czesnego czy o stypendium. Gdy uswiadomił sobie, że suma kilkudziesięciu czy paruset złotych może naprawdę stanowić przeszkodę w kontynuowaniu nauk i zmienić całe życie młodego człowieka, wpaadał po prostu w przerażenie. Jego oznaki zaniepokojenia bywały w takich wypadkach czasem tak jaskrawe, że sam student zaczynał go pocieszać. Kończyło się zawsze na tym, że dziekan znajdował radę i często sam przychodził z pomocą.”

Dobrobyt i duże pieniądze skończyły się wraz z okupacją niemiecką. Ale nie działalność Hipolita Gliwica. W KG AK objął kierownictwo grupy specjalistów gospodarczych o kryptonimie „Kraj”. Opracowywano w

Literatura w walce z Kościołem

Prawdziwy kod Leonarda da Vinci czy kodowanie nieprawdy?

Kod Leonarda da Vinci“ autorstwa Dana Browna to krajnie antykatolicka i antychrześcijańska powieść, która jednak znalazła się na listach best-sellerów w księgarniach całego świata. W Polsce - podobno numer jeden. co najmniej od kilku tygodni. Przetłumaczona na 30 języków, sprzedana w ponad 30 milionach egzemplarzy, z wykupionym już przez Columbia Pictures prawem do ekranizacji (reżyser Ron Howard, w roli głównej Russell Crowe), zaczyna być przebojem kultury masowej ze wszystkimi zagrożeniami wpływającymi z tego faktu.

W notatce na początku książki Brown deklaruje: „wszystkie opisy dzieł sztuki, architektury i dokumentów oraz tajnych rytuałów, zamieszczone w tej powieści odpowiadają rzeczywistości”. Autor dzikuje licznym naukowcom, a także instytucjom, co zwiększa wiarygodność opisywanych treści. Jest to stary chwyt, zwłaszcza dla niewykształconego czytelnika. W ten sposób książka udaje poważne studium problemu, próbując się sprzedać jako rewelacyjne odkrycie historyczne i ważny dokument. Chodzi więc tu o faktyczne odniesienie do historycznych faktów i tez światopoglądowych.

Tym bardziej więc skoro nie jest to tylko - wedle autora - fikcja literacka (rodzaj „pulp-fiction”), należy wskazać na zawarte w niej niezliczone zafalszowania, kłamstwa i błędy. Należy zdemaskować niewiarygodne wręcz, prostackie wymysły, pseudonaukowe nadinterpretacje, a nawet bezwstydną bluźnierstwa - w liczbie rzadko spotykanej - przewijające się w całej powieści, niemalże na każdej stronie.

Nie jest więc przypadkiem, że wielu chrześcijan zostało poważnie zaniepokojonych forsowanymi w książce Browna tezami, których istotą jest twierdzenie, iż chrześcijaństwo - takie jak dzisiaj znamy - zostało przez ludzi Kościoła sztucznie sfabrykowane, a prawda podstępnie ukryta. Tymczasem książka formułująca takie twierdzenia zawiera nie tylko liczne błędy teologiczne, ale też niezliczone błędy historyczne i faktograficzne. Dotyczą one kwestii dla chrześcijaństwa i Kościoła fundamentalnych. Zawiera też liczne pomówie-

nia realnych osób i instytucji. Jest jednak przede wszystkim formą paszkwilu na instytucję Kościoła katolickiego, a szczególnie na organizację Opus Dei, która wielokrotnie już występowała publicznie w tej kwestii. Czy można więc zlekceważyć ten problem i milczeć?

Nie mamy tu bowiem do czynienia z dylematem: kłamstwo czy fikcja literacka, ale chodzi o realne kłamstwo posługujące się fikcją literacką. Fikcja tego typu to zresztą najlepsza forma, by kształtować poglądy mas. Posługuje się bowiem skutecznie mechanizmem sugestii, gdzie „obrazowanie” w toku sensacyjnej akcji sprzyja „odmóżdżeniu” i psycho-manipulacji. Połączona zaś częściowo z nauką (historią sztuki, i tak zresztą przeinaczaną) i pseudonauką (dotyczącą religii, teologii oraz historii Kościoła katolickiego) oszukuje czytelnika dużo łatwiej. Pozwala też umyć ręce od odpowiedzialności moralnej (i prawnej!) z powodu wypowiedzianych oszczerstw i kłamstw, które jest trudno odrzucić. I zawsze - wiedział to Wolter - coś po nich pozostaje.

Kontynuacja antykościelnej tradycji

Powieść Browna zaczyna się dziwnym morderstwem w Luwrze i przedstawieniem Leonarda da Vinci oraz Isaaka Newtona jako przywódców tajnej organizacji o nazwie Zakon Syjonu, przechowujących w ukryciu prawdę o tzw. Świętym Graalu i Chrystusie. Dan Brown, typowy komercyjny spryciarz, odwołuje się więc do tematów atrakcyjnych, „poprawnych politycznie” i będących „na czasie”, o czym świadczy jego wcześniejsze powieści (wydane już w Polsce). W konstrukcji antykatolickiego paszkwilu stosuje podobne metody. Przywołując wątki sensacyjne i kryminalne, nie omieszkął przywołać „długiego” tematu pedofilii wśród księży katolickich.

W tym samym celu powołuje się on na całą masę podobnych paszkwilantkich (w sposób jawny i ukryty) „utworów” antykościelnych (książek i filmów), nie wyłączając „Harry’ego Pottera”, o którym wspomina w swojej powieści. Nie jest to przypadkowe, bo po-

dobnie jak J.K. Rowling czy R. Ludlum, odwołuje się do historii ezoterycznych i okultystycznych bractw tajnych, jak templariusze, różokrzyżowcy, masoneria czy - w końcu - wspomniany już tajemniczy Zakon Syjonu, realizujący misję przechowywania tajemnicy Graala (związanej z ewangeliczną Marią Magdaleną, symbolem „sakrałnej kobiecości”, co jest jednym z głównych wątków powieści i rzekomym kluczem do reinterpretacji chrześcijaństwa, a nawet wszelkiej religii).

Zakon Syjonu faktycznie istnieje. Jest francuską wspólnotą zarejestrowaną w 1956 roku, założoną prawdopodobnie po II wojnie światowej, i chociaż ogłasza się spadkobiercą masonów czy templariuszy, to podawana w powieści lista Wielkich Mistrzów nie jest wiarygodna mimo że wymienia takie historyczne postaci, jak Isaac Newton, Victor Hugo, Nicolas Flamel (słynny alchemik, znany z „Harry’ego Pottera”) czy tytułowy bohater - Leonardo da Vinci, który zresztą w powieści przedstawiony został jako jawny homoseksualista.

Komu służy propagowanie takich „faktów”, nawet jeśli temat seksualności Leonarda został już podjęty przez samego Zygmunta Freuda?

Pretensje do stworzenia erudycyjnej pracy naukowej autora upadają, gdy zajrzymy do bibliografii, w jakiej korzystał Brown, gdzie zamiast poważnych książek historycznych i albumów sztuki znajdziemy jedynie pozycje paranaukowe, pseudonaukowe, ezoteryczne i konspiracyjne pseudohistorie. Wykorzystuje on bowiem psychologię konspiracji i spisku, w oparciu o tradycję gnostycy i ezoteryczną, do której się odwołuje i którą afirmuje, próbując przedefiniować katolicką teologię. Odwraca jednak kota ogonem, gdy spisek przypisuje Kościołowi katolickiemu. Tym bardziej że - jak twierdzą liberalowie - spisków podobno nie ma i jest on wyłącznie wymysłem, tzw. diabolistów (U. Eco).

Na swojej stronie internetowej Dan Brown mówi jasno, że jego „dzieło” nie jest jedynie zwykłą powieścią rozrywkową, ale „dotyczy sekretu, o którym mówiło się szepceniem od wielu wieków”. Czego dotyczy spisek i sekret? Ukrywania

przez Kościół faktu, że Maria Magdalena była żoną Chrystusa i że jej rzekomo powierzył On Kościół, a nie Piotrowi. Wiedział o tym rzekomo wtajemniczony mistrz Leonardo, który na obrazie „Ostatniej Wieczerzy” umieszcza obok Chrystusa nie św. Jana, ale kobietę - Marię Magdalenę (zaprzeczają temu historycy sztuki, np. Elisabeth Levy czy Diane Apostolos-Cappadona). Oto zasadnicza treść „Kodu Leonarda da Vinci”!

Pojawiają się więc w tym kontekście dwie fałszywe tezy światopoglądowe uporczywie lansowane w omawianej książce:

1. Maria Magdalena była życiową partnerką Jezusa; przede wszystkim ona, ale także ich dzieci, jako nosiciele Jego krwi, to właśnie Święty Graal (krew króla = sang real = Sarf Greal), tworzący korzenie francuskiej dynastii Merovingów (i przodków jednej z bohatererek powieści Sophie Neveu). Legenda o Świętym Graalu jest związana w istocie z legendą o królewskiej dynastii Jezusa Chrystusa. W szerszym znaczeniu „Gral” jest „starożytnym symbolem kobiecości”, a „Święty Graal” jest obrazem „świętości kobiecej” i „Wielkiej Bogini”.

2. Jezus i Maria Magdalena reprezentowali „dwójnię” męskożeńską (tak jak w innych religiach np. Mars i Atena, Izis i Ozyrys). Pierwsi naśladowcy Jezusa ubóstwiali rzekomo „świętość kobiecą”. Część oddawana kobiecemu pierwiastkowi boskości została ukryta w konstrukcjach katedr wznoszonych przez templariuszy, w sekretnej organizacji zwanej „Zakodem Syjonu” - do której należał Leonardo da Vinci - oraz w wielu innych sekretnych symbolach istniejących do dziś w kulturze (np. pentagram, który ponoć nie ma nic wspólnego z satanizmem), które odkrywa główny bohater powieści - ekspert od symboliki - Robert Langdon.

Ten „odzyskany” wątek „wiecznej kobiecości” ujmowany jest w powieści z wielu stron, także w bardziej zasadniczych i wielokulturowych rysach. Według religioznawcy prof. Zbigniewa Mikołajko, próbującego prostować w „Posłowiu” do książki przynamniej niektóre błędy Browna (ciekawe, że uznano konieczność takich sprostowań), „zasadniczą ideą, któ-

raża intryga powieści Browna, jest idea zatraconej świętości żeńskiej (sakralności kobiecej). Brown postępuje tu za niektórymi obiegowymi koncepcjami feminizmu. Sprzyja zwłaszcza ważnemu w pewnych nurtach feminizmu kultowi Marii Magdaleny, czemuś, co nazwać by można kulturą magdaleńską. Ale 'poprawnościowe politycznie' dowartościowywanie takiego feministycznego motywu ma pewne skutki ideologiczne - prowadzi do oskarżenia wyłącznie katolickiego chrześcijaństwa o zniszczenie pierwotnej, matriarcalnej religii Śródziemnomorza, o wyparcie w mroku podświadomości i w labirynty kultur oraz tajemnych wier archaicznego kultu Wielkiej Bogini, pani płodności i śmierci. Tymczasem zarówno choćby znana autorowi 'Biała Bogini' Gravesa, jak i - przede wszystkim - fundamentalne studia włoskiego historyka religii, Pestalozzy, pokazują, że był to proces bardziej rozległy, bardziej złożony i dramatyczny. Kult Wielkiej Bogini, żyjący w tylu rozmaitych wcieleniach, które zresztą przypomina autor, był bowiem przez religię patriarchalną, męską, zniekształcany stopniowo przez tysiące lat, poczynając od czasów głęboko przedchrześcijańskich, głęboko pogańskich". Mikołejko jednak niespodziewanie dodaje: „Kościoł tu raczej zwiędził dzieło, niżli go dokonał” (tamże). Czyżby, panie profesorze, akceptował pan jednak antykościelne tezy Browna?

W tym kluczu afirmacji „kobiecej sakralności” (nie mylić ze „świętością kobiet”, o czym poniżej) następuje reinterpretacja całej historii religii, a także nauki i kultury (w tym sztuki, i malarstwa na czele - stąd potwierdzenie założonej tezy, że Leonardo da Vinci był rzekomym mistrzem tajemnego Zakonu Syjon). Autor nie cofa się nawet w tym kontekście przed bluźnierstwem, dotyczącym samego Boga, gdy mówi, że cztery litery: YHWH, to imię Boga pisane po hebrajsku, pochodzące od „Jehowa” - obojnaczej jedności fizycznej pomiędzy męskim „Yah” i starożytnym imieniem hebrajskim „Ewa”, „Hawa”. Tymczasem słowo YHWH (które jak dziś wiemy wymawia się: Jahwe) zaczęto wymawiać jako „Jehowa” w średniowieczu, gdy nałożyły się na spółgłoski - samogłoski „Adonai”.

W świetle takiej właśnie ideologii oskarża się brutalnie i bez ogródek Kościół katolicki, co relacjonuje wiernie prof. Mikołejko, mówiąc, że czytelnik staje „wobec konsekwentnie przez autora głoszonej idei, że zbrodnia ta jest dziełem pewnych struktur i pewnych ludzi Kościoła katolickiego. Że - co więcej - te nieprawe działania są na trwałe wpisane w dzieje

tej instytucji i w znacznej mierze budują jej tożsamość. Słowem, katolicyzm staje się w oczach autora udziałowcem świadomego spisku przeciw ludzkości i przeciw rzeczywistości, 'ludowemu' chrześcijaństwu, chrześcijaństwu kobiet i ubogich. Staje się grabieżcą, który zagarnął, znieprawił i zniekształcił obraz Jezusa oraz sens jego duchowego posłania. W przeszłości narzędziami owego religijnego spisku, motywowanego jedynie żądzą władzy, byli krzyżowcy, inkwizytorzy i jezuita, dziś jego narzędziem zostało Opus Dei” (tamże).

Mamy tu więc do czynienia z zafaszowaniem, które jest inwersją prawdy historycznej i teologicznej. Spotykamy się z „pozytywnym” i aktywnym głoszeniem nieprawdy i kłamstwa.

Kto naprawdę fałszuje kobiecą historię i godność?

Według Browna, „przez 300 lat Kościół spalił na stosach 5 milionów kobiet”. Jest to cyfra powtarzana w literaturze New Age (mówi się w tych kręgach czasem nawet o 9 milionach), a także generalnie w literaturze neopogańskiej i feministycznej. Taka propaganda wynika prawdopodobnie z faktu, że neopoganie potrzebują własnego „holokaustu”. Gdy zajrzymy do autentycznych źródeł historycznych, dowiemy się, że w latach 1400-1800 zostało straconych 30-80 tys. osób uznanych za czarownice. Według badań wybitnego duńskiego historyka G. Henninga, liczba skazanych to wyłącznie 50 tys. osób. Nie wszystkie zostały spalone. I nie wszystkie były kobietami. Wielu mężczyzn, także duchownych, zostało oskarżonych o czary. W Islandii np. skazywano wyłącznie mężczyzn. Nie wszystkie te osoby zginęły z rąk Kościoła ani nawet katolików. Większość ofiar pochodziła z Niemiec, z lat wojen protestanckich z XVI i XVII wieku. Sądy cywilne, lokalne i regionalne były nastawione szczególnie entuzjastycznie do egzekucji, zwłaszcza w kręgach luteranckich i kalwińskich. Według Henninga, większość wyroków zakończona spaleniem miała miejsce w krajach protestanckich.

Tę tendencyjność autora omawianej książki dostrzega, a nawet próbuje wyjaśnić także prof. Mikołejko, gdy stwierdza, że „u podstaw pomysłów Browna leży (...) atawistyczny, nierozumny już dzisiaj lęk anglosaskich protestantów przed 'rzymską wiarą', przed 'papizmem'”. Albowiem „nieustannie wypomina się katolicyzmowi tylko jego ciemne strony: dyskryminację kobiet, inkwizycję, krucjaty, prześladowania heretyków, inno-

wierców czy czarownic. Zapomina przy tym absolutnie zarówno o jasnych przejawach tej odmiany chrześcijaństwa, takich choćby jak wspomniały nurt franciszkański (o którym w 'Imieniu róży', patronującym skądinąd powieści Browna, pamięta Umberto Eco), jak i o brutalnych zbrodniach protestantyzmu, którego przeszłość jest obciążona niejedną winą. Wystarczy wspomnieć tylko, że w niemieckich krajach protestanckich rzekome czarownice były tak samo, o ile nie mocniej i nie dłużej, tępiące jak w państwach katolickich, że amerykańscy purytanie mają na sumieniu nieszczęśników z Salem, podejrzanych o konszachty z diabłem, że angielski protestantyzm okrutnie prześladował katolików i odmawiał im elementarnych praw (stopniowo odzyskali je dopiero w XIX i XX stuleciu), że Kalwin urządził w swej Genewie religijne państwo totalne i palił tam na stosie heretyków (na przykład hiszpańskiego lekarza Michała Serveta), że Luter obrzucał swych przeciwników najgorszymi inwektywami i wzywał niemieckich księży, by rozprawili się ze zbuntowanymi chłopami jak z 'wściekłymi psami', że czescy husyci wydatnie przyczynili się do pomnożenia liczby świętych męczenników katolicyzmu” (dz. cyt.).

„Świętość sakralna” to temat gnozy i pogaństwa, wyrażony np. w zjawisku „proytucji sakralnej”, znanej m.in. wśród narodów sąsiadujących z Izraelem. Była ona szczególnie potępiana przez Biblię właśnie w racji swej „sakralności” (Pwt 23, 18). Problem nie dotyczy więc tylko chrześcijaństwa, ale i tradycji judaistycznej. Z punktu widzenia całej tradycji judeo-chrześcijańskiej, znamienna dla pogaństwa „kobieca sakralność” nie ma nic wspólnego ze „świętością kobiet”, a nawet jest jej przeciwieństwem.

Świętość czy dążenie do świętości u kobiet (chodzi zawsze o konkretne osoby, a nie abstrakcyjną ideę), praktykowana i zalecana w judaizmie, a szczególnie w chrześcijaństwie - ma charakter personalistyczny, duchowy i moralny. Propagowana w powieści Browna „sakralność kobieca” (nazywana też „świętością kobiecą”), „żeńska boskość”, zwłaszcza zaś „święty seks” (a nawet „kult kobiecości” czy „wieczna kobiecość”) - latwo zyskują charakter nieludzki, amoralny, cielesny i czysto seksualny. Jest to wtedy dla chrześcijaństwa - „antysacrum”, profanacja czy wprost przejaw grzechu. Chodzi tu bowiem o naturalistyczne - właściwe pogaństwu - „ubóstwienie popędów” w punkcie wyjścia, a nie uświęcenie czy przeobóstwienie - z łaski - całego człowieka (łącznie ze sferą zmysłów).

Jest więc to zielone światło dla wielu grzechów: „wolnej miłości”, apologii seksu w relacjach pozamażeńskich, tzw. aborcji i uderzenia w instytucję małżeństwa. Dlatego entuzjazm Browna dla „rytuałów płodności”, które są tak podziwiane i praktykowane przez bohaterów powieści, nie ma nic wspólnego z prawdziwą płodnością (właściwą małżeństwu w jego otwarciu na nowe życie), ale łączy się głównie z samą przyjemnością seksualną. To znak czasów, ale także wpływ gnozy: zapładnianie, dawanie życia jest naganne, ale za to przyjemność seksualna nabiera „mistycznego” wymiaru i znaczenia.

Sprzyja temu propagowana w powieści „ontologizacja” jedności przeciwieństw czy mistyczny androgynizm, tematy znane w alchemii i w ideologii masonerii, którą zresztą Brown propaguje i afirmuje już w wcześniejszej powieści (przetłumaczonej na język polski) „Anioły i demony”. Chodzi jednak w ostateczności o apologetykę panseksualizmu i feminizmu. Poglądy takie mają swe źródło w „chrześcijaństwie” gnostycznym, gdzie niektóre grupy i tendencje uważały boskość za połączenie cech męskich i żeńskich, harmonijne relacje dwóch przeciwieństw (jin-jang), odnajdując ją również w wizerunku dwupłciowego androgyne, a właściwie hermafrodyty. I dlatego, pisze Brown, „twarz Mona Lizy ma cechy androgeniczne”. W powieści profesor Langdon odsłania bowiem kolejną tajemnicę kodu Leonarda, czyli połączenia męskości i żeńskości w obrazie Mona Lisa, anagramując tytuł tak, by uzyskać „Amon L'Isa”, domniemane androgeniczne połączenie boga Amona i bogini Izdy. Tymczasem, ponieważ Leonardo nie nazwał tak swojego obrazu, i w jego czasach obraz w ogóle nie miał tytułu, dowodzenie jest tu absurdalne.

Jezus, według gnostyków z II wieku, feministek oraz ideologów ruchu New Age (gdzie kursują też podobne w tym względzie idee C.G. Junga), potrzebuje kobiety jako przeciwieństwa, które by Go dopełniło. Tym uzupełnieniem byłaby Maria Magdalena. Jedynymi jednak źródłami to potwierdzającymi są ewangelie apokryficzne i teksty gnostyczne przedstawiające idee nie mające żadnego odniesienia historycznego. Jednakże te teksty, chociaż sugerują pierwotną „androgeniczność” rodzaju ludzkiego, wbrew temu, co twierdzi Brown, są wrogię realnemu życiu, ciału, płodności, a nawet samej seksualności. Dlatego nawet „święty seks” - w żadnym znaczeniu tego słowa - nie może być tu do końca prawdą.

Teksty gnostyczne nie ukazują

też - wbrew twierdzeniom Browna - bardziej ludzkiego oblicza Jezusa niż ewangelie kanoniczne. Wprost przeciwnie. Ignorując bowiem chociażby Pasję i śmierć Chrystusa, pozbawiają Go istoty Jego człowieczeństwa, które tak rzekomo wywyższa Brown, odzierając jednocześnie Chrystusa z Jego Boskości.

Bluzniercza deformacja osoby Chrystusa

Książka Browna jest więc nie tylko antykatoicka, ale też antychrześcijańska, ponieważ profanicznie deformuje osobę Chrystusa, czyniąc bluznierczy zamach na Jego Boskość i świętość. Wyraża się to w dwóch zasadniczych, pseudoteologicznych tezach.

1. Jezus nie jest Bogiem: żaden chrześcijanin nie uważał Go za Boga, zanim cesarz Konstantyn nie ogłosił Go Nim na soborze w Nicei w 325 roku. Bohater powieści, angielski historyk Teabing twierdzi, że dopiero w Nicei - rzekomo wyłącznie drogą głosowania - ustalono, że Jezus był „Synem Boga”. Chrześcijaństwo przed tą datą było ruchem bardzo otwartym, nie uznawało Jezusa za Boga. Akceptowano „wieczną kobiecość”, spisywano rzekomo wiele ewangelii. Tymczasem wystarczy przejrzeć ewangelie kanoniczne, napisane 250 lat przed Niceją, aby pokazać, że o tym, iż Jezus jest Synem Boga, wzmiankowano przynajmniej 40 razy. To właśnie było wyrazem prawdziwego przekonania chrześcijan, zaś Brown po prostu kopiuje wiadomości z jednej z pseudo-histerycznych książek. Aby stworzyć własny bestseller, dokonuje plagiatu tematów z innego bestsellera „Święty Graal, święta krew” (autorstwa Baigenta, Leigha i Lincolna), w którym stwierdzono, że „w Nicei na podstawie głosowania zdecydowano, że Jezus był bogiem, a nie śmiertelnym prorokiem”.

2. „Zły” (określenie Browna) Kościół katolicki, stworzony przez Konstantyna w roku 325, przesładował niewinnych czcicieli „wiecznej kobiecości”, w czasie średniowiecza i renesansu paląc na stosach tysiące czarownic, niszcząc wszystkie gnostyczne ewangelie i pozostawiając tylko cztery z tych, które najbardziej mu odpowiadały. Konstantyn i jego następcy, oczywiście mężczyźni - pisze Dan Brown - z zapalem przemieniali świat z matriarchalnego pogaństwa w chrześcijaństwo patriarchalne poprzez propagandę demonizującą „wieczną kobiecość”, przez eliminację konceptu bogini z religii. W konsekwencji „Matka Ziemia” przemieniła się w świat męczyzn, bogów zniszczenia i wojen. Męskie męstwo spe-

dziło dwa tysiące lat bez równoważenia się z pierwiastkiem kobiecości, co zaowocowało wojnami, nagłym wzrostem społeczeństw gardzących kobietami i wielkim brakiem szacunku dla „Matki Ziemi”.

W powieści Browna przewrotna organizacja Opus Dei stara się nie dopuścić, by bohaterowie odsłoniли światu owe liczne „religijne tajemnice”, m.in. że Jezus nie był Bogiem i miał z Marią Magdaleną dzieci itd. W ten sposób książka nie tylko zaprzecza Jego Boskości, ale też przypisuje Mu uczynki, niegodne Jego świętości, czemu brak historycznych podstaw. Jest to jednak największe uderzenie w wiarę chrześcijańską w tej książce, błędne zarówno z punktu widzenia założeń religioznawczych, jak i teologicznych.

Podstawy założeń religioznawczych podważa sam prof. Mikołajko, odsłaniając fakt, że Brown „swoją wizję Jezusa wsparł na popularnych w latach 80-tych pozycjach - 'Święty Graal, święta krew' i 'The Woman with the Alabaster Jar' (Kobieta z alabastrowym flakonem)". Chodzi o tradycję tak zwanych zwojów gnostyckich z Nag Hammadi nad Nilem, odnalezionych przypadkowo przez egipskiego wieśniaka w 1945 roku. Widzi przy tym ich związek z rękopisami z Qumran w Izraelu, które odkrył 3 lata później pewien beduiński pasterz. Na dodatek twierdzi, że teksty owe stara się zniszczyć, a przynajmniej utajnić Kościół rzymski. Nic błędniejszego. Jeśli ktoś niszczył rękopisy z Nag Hammadi, to tym kimś była matka znalazcy, która użyła części cennego znaleziska do podpalki. Zwoje z Nag Hammadi są stopniowo, krok po kroku, rozwijane i odczytywane, publikowane - także w katolickich wydawnictwach. Nie istnieje żaden „watykański spiszek” w tej kwestii” (tamże).

Wynika z tego, że nie są one „rękopisami, które mogłyby wspierać obraz Jezusa historycznego - cielesnego, żyjącego w małżeństwie z Marią Magdaleną i mającego z nią potomstwo. Teksty te nie są też aż tak dawne, by mogły być bezpośrednim świadectwem z czasów Jezusa” (tamże). Według Mikołajki, Brown „nie powinien też powoływać się na przekaz rękopiśmienny z Qumran. To bowiem dziedzictwo żydowskiej sekty eseneńczyków, istniejącej jeszcze przed Jezusem (zaginięli po śmierci Jezusa, podczas wojny żydowskiej z Rzymem w 70 roku naszej ery). Tyle tylko, że znajdują się w owych eseneńskich rękopisach pewne idee Jezusowi. Większość owych zwojów została spisana w języku koptyjskim (w dwóch jego odmianach, saidzkiej i dworskiej) dopiero w II i III wieku naszej ery

przez chrześcijańskich gnostyków z kilku sekt. Nie były to wcale nurtu chrześcijaństwa, jak chce Brown, 'ludowe'. Przeciwnie, gnostycyzm to odmiana chrześcijaństwa bardzo elitarna, wymagająca osobliwego wtajemniczenia, sekretnej inicjacji” (tamże).

Z tezami książki Browna polemizował też prof. B.D. Ehrman, religioznawca z University of North Carolina (USA), stwierdzając, iż:

1. Teksty z Nag Hammadi nie zawierają historii Graala; nie znajdujemy w nich też wzmianek o ludzkich zachowaniach Jezusa; wręcz przeciwnie.
2. „Żydowskie obyczaje” wcale nie piętnowały „nieżonatyh Żydów”. W rzeczywistości większość wspólnoty znad Morza Martwego stanowili nieżonaci mężczyźni zachowujący celibat.
3. Zwoje znad Morza Martwego nie są jedynymi spośród „najwcześniejszych pism chrześcijańskich”. To księgi żydowskie (por. D. Burstein, „Tajemnice Kodu”, Warszawa, 2004).

Ważne wnioski - ku przestrodze

1. Od strony światopoglądu mamy w powieści Dana Browna do czynienia w propagowaniu kodów ideologii i tradycji gnostyckiej, która jako tradycja inicjacyjna i duchowa była zawsze największym zagrożeniem dla Kościoła - od początku aż do dziś (począwszy od manicheizmu, poprzez masonerię, do New Age). Autor popiera też optymistycznie i przeddefiniowuje - często w kluczu gnozy - symbolikę satanistyczną, wyrażaną w znakach pentagramu, bafometa czy tarota, podważając przy tym demonologię chrześcijańską, przez co osłabia czujność duchową i intelektualną, konieczną w obliczu zagrożenia popularyzowanego dziś satanizmu.
2. Od strony nauki „Kod Leonarda da Vinci” (podobnie jak rozpoczęte w Polsce „Kod Biblii” w wersji M. Drosnina) to historyczna, religioznawcza i teologiczna forma pseudonauki (wbrew deklaracjom autora), a więc czegoś, co zachowuje pozory nauki, ale przy bliższym zbadaniu okazuje się, że nie opiera się na żadnych naukowych podstawach. Potwierdza ten fakt Amy Welborn - w godnej polecenia książce, w której odiera większość fałszywych tez zawartych w książce Browna - gdzie „wymyślony szczególnie i fałszywa historyczna teza, są zaprezentowane jako fakty i owoc poważnych badań historycznych, choć nimi nie są” (A. Welborn, „Zrozumieć Kod da Vinci. Co ukrył w swojej

książce Dan Brown?”, Polwen, Radom 2004). Dlatego powieść Browna nie służy ważnej w kulturze informacji, lecz niebezpiecznej - dla samej tylko kultury - dezinformacji.

3. Od strony literatury mamy do czynienia z dziełem miernym, gdyż skrajnie „monofonicznym”, gdzie „obrazowanie” służy jednoznacznej ilustracji światopoglądowych tez (znanych z literatury New Age), jak np. „Biblia nie pochodzi od Boga”, „W chrześcijaństwie nie ma nic autentycznego”, „Kaźda religia jest wymyślona”, „Znak krzyża dotyczy tortur”, czy - w książce „Anioły i demony”: „czysta energia jest ojcem stworzenia”. Fikcja literacka służy kodowaniu tych ideologicznych tez oraz wielu innych nieprawdziwych twierdzeń.

4. Z duchowo-moralnego punktu widzenia dotykamy tu bluznierstwa czy profanacji największych świętości chrześcijaństwa (nie tylko rzymskiego katolicyzmu!): przede wszystkim osoby samego Jezusa Chrystusa, Jedyne Boga, Pana i Zbawiciela. Ten ostatni, duchowy aspekt jest niestety rzadko podkreślany w licznych - krytycznych zresztą - opiniach o powieści Browna, publikowanych już na łamach czołowych polskich gazet i czasopiśmie.

W świetle powyższego dobre przyjęcie takiej książki przez czytelników na całym świecie jest znaczącym wyzwaniem i - jak słusznie twierdzi Amy Welborn - „fakt ten świadczy o jakiejś porażce wszystkich Kościołów chrześcijańskich”, które nie potrafiły „przekazać swoim wiernym elementarnej wiedzy z zakresu historii chrześcijaństwa i chrześcijańskiej teologii. Łatwo wierność, z jaką czytelnicy przyjęli twierdzenie Browna, iż pierwsi chrześcijanie nie uważali Jezusa za Boga, oraz że ostateczny kształt chrześcijaństwa jest rezultatem prymitywnych walk o władzę, powinna obudzić z letargu wszystkich zaangażowanych w pracę apostolską” (tamże).

Dla tysięcy ludzi (zwłaszcza młodych) wspomniane powieści Browna (zapowiedziane są już następne) będą pierwszym, a może nawet jedynym kontaktem z teologią i historią Kościoła. Nie można było więc nie odpowiadać na błędy, kłamstwa i oszczerstwa ze strony neopoganstwa czy ideologów New Age, nie broniąc tego, co pierwsi chrześcijanie i nasi ojcowie wypracowali swoją wiernością i niezachwianą wiarą w Bóstwo Jezusa Chrystusa oraz wiarą w zbawczą misję założonego przez Niego, świętego Kościoła.

Religijna sytuacja światowa

Nasz Dziennik

[...] Historia ludzka to nie tylko walka o życie, lecz także walka, nierządno krwawa, o władzę nad drugim człowiekiem, nad naturą. I walka ta przybiera najrozmaitsze formy: na pięści, na miecze, na armaty, na bomby atomowe, na broń bakteriologiczną lub chemiczną, na gospodarę, na słowa, na fałsze, na poniżenie, na ograbienie, na śmierć. Pomysłowość ludzka jest tu wprost niewyczerpana. Ludzie potrafią walczyć o wszystko i o najdrobniejszą rzecz z każdej dziedziny, ale chyba najbardziej zawzięcie i z pełną nienawiścią walczą najczęściej o władzę, zwłaszcza o wielką władzę. I za taką żądzą władzy kroczy śmierć, zniszczenie, mordy nawet w najbliższej rodzinie: lugała, faraona, cesarza, imperatora, króla, księcia, prezydenta, choćby ci władcy byli przedstawiani usilnie jako „synowie Boga”. U nas np. Bolesław Krzywousty walczył zbrojnie ze swym ojcem Hermanem, a potem oślepił przyrodniego brata Zbigniewa, księcia wielkopolskiego i mazowieckiego, za to, że ten sprzymierzył się z Niemcami. W ogóle są to problemy niezmiernie skomplikowane, gdyż władza naczelna formuje życie danego państwa i narodu.

Jezus Chrystus, który wypełniał absolutnie wolę Ojca, dokonał przewrotu w pojmowaniu wszelkiej władzy, uznając ją nie za panowanie, lecz za służbę wobec społeczności: „A kto by chciał być pierwszym między wami, niech będzie niewolnikiem waszym” (Mt 20, 27). Ale ta niezwykła idea chrześcijańska realizuje się w historii z ogromnym trudem, zresztą nawet i w Kościele. Świeccy dziś często walczą z władzą duchownego, specjalnie przygotowanego i wybranego, jako złą, ale faktycznie sami chcą ją przejąć dla siebie i gdy się im to uda, bywa zwykle dużo gorzej, jak np. w bractwach prawosławnych w Rosji czy w parafiach na Zachodzie prowadzonych przez nieduchownych. Władza jakoś człowieka oślepia i trzeba mieć bardzo mocną osobowość, żeby się nie dać jej znieprawić. Lord Acton sformułował słynne adagium: „Każdą władzą psuje człowieka, władza absolutna psuje absolut-

nie”. Walka o władzę jest często przyczyną zbrodni i wojen.

W walce o władzę nad drugim człowiekiem występuje jeszcze inna pseudoreligia, a mianowicie masoneria, która dziś rozciąga się na szczytach władz politycznych wielu państw świata jakby jakaś niewidzialna pajęczyna. Francuzi liczą, że wśród inteligencji światowej jest ok. 10 do 15 milionów masonów różnych szczebli, np. w samej Ameryce Północnej 4 mln i 1 mln w Ameryce Łacińskiej. Dla wielu ludzi masoneria jest dużo większym oparciem niż partia polityczna, zresztą jedno drugiemu nie przeszkadza. I tacy ludzie opanowują często najwyższe urzędy i trzymają się dzielnie mimo „demokratycznych” wyborów, a raczej dzięki nim, bo mają pieniądze i wtedy najwyższej jeden mason wymienia drugiego. Popularna encyklopedia francuska „Quid” z roku 1989 podaje, że już pierwszy prezydent USA Jerry Waszyngton należał do masonerii francuskiej, a potem po kolei już prawie wszyscy prezydenci, choć Amerykanie chlubili się zawsze swoją wolnością wyborów. We Francji zaś po de Gaulle’u masonami będą już wszyscy prezydenci powołujący z kolei gabinety rządowe albo z samych masonów, albo w takich proporcjach, jak 9 na 11 stanowisk ministerialnych. I to ma być owa chluba wolności francuskiej. Podobnie jest od dziesiątków lat w Anglii, Holandii, Belgii, Hiszpanii, Niemczech (po Adenauerze) i gdzie indziej.

Z kolei dziś UE narzuca układy masonie wszystkim nowym dziesięciu krajom, szczególnie Polsce, żeby przeciwstawiać się i Kościołowi katolickiemu, i dumnej polskości. Masoni są osadzeni po wszystkich partiach, nawet na niektórych stanowiskach kościelnych, choć pojawiły się i partie typowo masonie. W każdym razie dopiero w tym świetle wyjaśniło się, dlaczego prezydenci amerykańscy Roosevelt (1933-1945) i Truman (1945-1953) oraz premier angielski Churchill (1940-1943) prowadzili w czasie wojny, jak się okazało, politykę z gruntu antypolską i przeciwko Kościołowi katolickiemu, choć mieli być rzekomo naszymi sprzymierzeńcami. I dopiero w związku z akcesją do UE dobrze pojęliśmy, dlaczego tak wielu czołowych polityków pol-

MORALIŚCI

Dla moralistów
moralne są
wojny sprawiedliwe
kara śmierci oraz
zabijanie zwierząt

Dla moralistów
niemoralny jest clochard
bo cuchnie i dzieli się
okruciami starego chleba
z oswojonym szczurem



JAN STĘPIEŃ
Rysunki
Le Madame w Warszawie

Na wernisaż wystawy zapraszała żona artysty, prof. Maria Szyszkowska, ale miłośnicy twórczości Jana Stępienia zapewne zajrzeliby do Le Madame nawet bez tej rekomendacji. Rzadka to bowiem okazja zobaczenia rysunków poety i pisarza, czasem zabawnych, czasem refleksyjnych, ale równie subtelnych jak inne przejawy jego działalności artystycznej.

Przeład 10 PAŹDZIERNIKA 2004 r.

skich nie ma zmysłu polskiego, oni walczą o swoją władzę nad Polską, a nie o władzę „dla Polski”. Chwytni też, dlatego niektórzy obcy nam duchem politycy, rzekomo polscy, często niszczący Polskę, otrzymują takie mocne poparcie ze strony UE. Poddanie struktur władzy państwowej masonerii bywa tak silne, że prezydent jakiegoś kraju, niekłaniający się Papieżowi, prywatnie całuje w rękę nieznanego ogółowi mistrza loży. Poza tym misjonarze Ameryki Łacińskiej mówią, że tam prawie wszystkie rządy są niejako dziedziczne w rękach masonerii. Rezultatem jest pewna mroczność polityczna, nieprzejrzystość władz, ogólny niepokój obywateli i brak zaufania do instytucji państwowych.

Trzeba wszelkimi siłami dążyć do tego, żeby władze społeczne prawdziwie demokratyzować, humanizować, a wreszcie i chrystianizować. Przedstawianie narodowi do wyboru jednego z dwóch ludzi wyznaczonych przez komitety partyjne, jakiegoś masona A albo masona B, różniących się jedynie kolorem swetrów, nie jest żadną demokracją, lecz zwyczajnym nielegalnym aktem walki o władzę. [...]



Cezary Leżeński – znów Prezydentem!

Z przyjemnością informujemy, że doskonale znany czytelnikom „Wolnomularza”, autor wielu poczytnych i lubianych książek, oraz artykułów i opracowań historycznych, związanych także z masonerią – Cezary Leżeński, wybrany został na zaszczytną funkcję Prezydenta Federacji Polskiej Międzynarodowego Zakonu „Droit Humain”. Godność tę niedawny Kongres tego Zakonu powierzył Br. Cezaremu Leżeńskiemu już po raz drugi.

Najczcigodniejszemu Prezydentowi serdecznie gratulujemy wyboru.

A od Brata Czarka, znanego nam i cenionego od wieków – oczekujemy wielu nowych, znakomych tekstów.

Przyjaciel księdza Popiełuszki

Nie trudno sobie wyobrazić salę sądową w okresie schyłkowego PRL. Nadęci sędziowie, rozparzeni prokuratorzy, adwokaci nerwowo wertujący papiery i cicha, spokojna sala. Na pierwszy rzut oka nie sposób odróżnić kto jest „obserwatorem” przysłanym ze Służby Bezpieczeństwa a kto zwykłym widzem procesu, w którym „przedstawiciele” dyktatury proletariatu mają osądzić tenże sam proletariat w postaci robotników, za to, że ośmielili się podnieść protest przeciw „swej” władzy.

Dlatego pojawienie się na tej sali bez autoryzacji i zgody odpowiednich organów PRL było tak niebezpieczne. Bo i po co zwykły obywatel, a nie daj Boże znany naukowiec, artysta, pisarz czy ksiądz ma tu wypychać swój nos. Każdy, nawet działacze opozycji rozumieli to dobrze: po co się narażać bez potrzeby. Szczególnie, że w ten sposób niczego praktycznie się nie osiągnie.

Tylko niektórzy pomyśleli: a może w ten sposób damy wyraz swej solidarności z oskarżonymi, natchniemy ich otuchą, sprawimy iż ktoś o nich myśli, daje wsparcie sam się narażając. Znalazło się tylko takich dwóch: ksiądz Jerzy Popiełuszko i profesor Klemens Szaniawski. Tu się poznali, tu zawiązała się przyjaźń. I choć profesor był nie wierzący to bez żadnych zastrzeżeń napisał wstęp do zbioru kazań ks. Popiełuszki, a księdzu Jerzemu nie przeszkadzało, że jego przyjaciel był ateistą. Ponad tymi podziałami widzieli coś wyższego i ważnego co ich łączyło – wspólna miłość do człowieka, który bez względu na wszystko był ich bliźnim.

Po zamordowaniu księdza profesor Szaniawski został powołany do Komitetu Pogrzebowego. W związku z tym wielokrotnie odwiedzał kurię biskupią w Warszawie i brał udział w dyskusjach na temat wyboru miejsca pochówku. Ku-

ria uległa władzom godziła się na cywilne Powązki, natomiast robotnicy protestowali tłumacząc wprost Prymasowi, że obawiają się niszczenia i profanacji grobu, którego nie zdołają upilnować. Profesor zdecydowanie popierał tę argumentację uważając, że jedyne godne miejsce jest przy kościele św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu, w którym ksiądz Jerzy wygłaszał swe słynne kazania. Niewiele to pomagało, dopóki w kurii nie zjawiała się matka księdza Jerzego. Ta prosta kobieta wiejskim zwyczajem, by uszanować posadki i dywany, zdjęła w holu buty, a biskupów ucałowała w ręce. Wyglądało na to, że nie będą mieli z nią kłopotów, ale na wszelki przypadek roztoczyli przed nią wizję wspaniałego, wielkiego konduktu żałobnego i jeszcze wspanialszego grobowca z pomnikiem.

Wysłuchała tego wszystkiego z nabożnym skupieniem i i oświadczyła krótko lecz zdecydowanie: „tu był pasterzem i tu powinien zostać pochowany wśród swych owieczek”. Kiedy później profesor Szaniawski opowiadał swej żonie Annie o tym spotkaniu, nie krył wielkiego podziwu i wzruszenia:

– Ile w tej kobiecie było godności, prostoty. Po jej słowach nikt już nie ośmielił się sprzeciwić.

To była dla profesora jedyna, jakże niewielka pociecha po śmierci przyjaciela. A przeżył ją głęboko, zupełnie jakby był

zarliwie wierzącym katolikiem a nie człowiekiem indyferentnym religijnie.

Ateizm nie oznaczał w życiu Szaniawskiego bezkompromisowego walczącego antyklerykalizmu. Wręcz przeciwnie, jak zawsze starał się zrozumieć innych, znaleźć w ich słowach i ideach głęboką prawdę. Tak też potraktował Trzecią Pielgrzymkę Jana Pawła II do Ojczyzny w roku 1987. Tak też pisał o wizycie papieża człowiek niewierzący, a więc pozornie daleki od nauk Głowy Kościoła Katolickiego.

„Przez siedem dni Papież był wśród nas (...) A więc obecność i słowo – dwa wspaniałe dary, które otrzymaliśmy w czerwcu tego roku (...) Stąd trafność pożegnalnych słów ks. Prymasa wypowiedzianych na lotnisku Okęcie: „Dla milionów Polaków byłęś radością”. Był nią w istocie (...)

Dominantą tegorocznego nauczania (jeśli wyłączymy do osobnej analizy wątek teologiczny) jest przypomnienie o zadaniach, o obowiązku należytego pełnienia roli wyznaczonej przez sytuację życiową. Myślę, że jest to istotna cecha papieskiego orędzia do Polaków odróżniająca trzecią Pielgrzymkę od dwóch poprzednich. Jak słusznie ktoś powiedział: Papież podczas pierwszej Pielgrzymki budził, podczas drugiej pocieszał, podczas trzeciej stawiał wymagania (...)

W tekstach, które ofiarował nam Papież podczas swej trze-

niej Pielgrzymki do Polski, najważniejsze były dla mnie te dwa wątki: indywidualny, skierowany do każdego z nas jako pełniącego rozmaite role społeczne, oraz ogólny, określający warunki godnej egzystencji narodu i składających się na niego jednostek. Jan Paweł potwierdził prawa osoby ludzkiej i zarazem przypomniał o wymaganiach, jakim powinna ona sprostać. Zwłaszcza tutaj, w „pojęźnie trudnego wyzwania”, jaką jest Polska dzisiejsza. Przeciwwstawiał się w ten sposób nastrojom apatii i zniechęcenia, od których nikt z nas boćaj nie jest całkowicie wolny”.

Jak twierdzi najbliższa mu osoba, żona Anna, i jak potwierdzają to różnorodne wspomnienia, Szaniawski zawsze starał się wysłuchać i zrozumieć drugiego człowieka, nawet jeśli różnił się od niego poglądami. Zawsze szukał komensusu i chciał zrozumieć. Jakże trafnie charakteryzuje postać profesora Marian Przełęcki, wybitny naukowiec, logicznik i filozof z Uniwersytetu Łódzkiego i Warszawskiego, zaprzyjaźniony z nim od 45 lat.

„Była to umysłowość naprawdę niezwykła. Dwie jej cechy uderzały przede wszystkim każdego, kto się z nią zetknął: świetna inteligencja i ogromna kultura humanistyczna. Nie waham się stwierdzić, że Klemens Szaniawski był najinteligentniejszym człowiekiem, z jakim mnie los zetknął w osobistym obcowaniu. Cechowała go inteligencja nadzwyczaj bystra, lotna, ostra, jasna, krótka. A jednocześnie był to człowiek o rzadko spotykanej kulturze humanistycznej – człowiek niewątpliwie najbardziej – najszerzej i najgłębiej – odczytany spośród wszystkich moich przyjaciół. Te niezwykle wartości jego umysłu znalazły oczywiście wyraz w jego twórczości. Ale w moim przekonaniu – wyraz jedynie cząstkowy. Ten, kto zna jedynie to, co Klemens Szaniawski napisał, nie może mieć właściwego obrazu tego świetnego umysłu. Aby mieć taki obraz, trzeba było ze-

tknąć się z nim w osobistym kontakcie intelektualnym, trzeba było być świadkiem, a zwłaszcza uczestnikiem, prowadzonych przez niego dyskusji i zwykłych towarzyskich rozmów. W tych sytuacjach walory jego umysłowości ujawniały się, być może, najpełniej. (...)

(...) Była to umysłowość, którą zadowolić mogły tylko owe przysłowiowe „jasne głębinny”, których – jak wiemy od Tadeusza Kotarbińskiego – daremnie szukać w dociekaniach filozoficznych. Toteż, w moim przekonaniu, Klemens Szaniawski był człowiekiem zbyt inteligentnym jak na filozofa. Typowego filozofa cechuje poza tym pewien rodzaj intelektualnej monomanii – uporczywe drażnienie jednej, stale powracającej idei. Renesansowa szerokość zainteresowań Klemensa Szaniawskiego była zaprzeczeniem takiego nastawienia. Można powiedzieć, że był on człowiekiem, zbyt wszechstronnym jak na filozofa.”

To ta właśnie wszechstronność pozwalała mu z uwagą wstuchiwać się w opinie, starać się pojąć tak rozumowanie i argumentację innych. To ta właśnie wszechstronność postrzegania pozwalała mu podejmować dyskusję bez urażania ludzi o innych poglądach. Najlepszym tego przykładem był udział Klemensa Szaniawskiego w symposium „Niewierzący a Kościół”, które odbyło się 31 maja 1988 roku w siedzibie Sekretariatu Episkopatu Polski.

To tam, mówiąc obszernie o płaszczyźnie zrozumienia i porozumienia, o zbliżeniu wierzących i niewierzących w sferze etycznej i socjalnej, godności człowieka i wspólnej hierarchii wartości etycznych, tak zakończył swe wystąpienie: „Myszę nawet, że teza, którą przedstawiłem dałaby się wzmocnić: nie okazujemy szacunku partnerom dialogu, jeśli nie odnosimy się poważnie do tego, co stanowi poważną treść ich przekonań. Do takiego dialogu zachęcałbym, uważam go za możliwy i potrzebny”.

Kiedy po zakończeniu Symposium wrócił do domu i pod-

niecony atmosferą dyskusji przypominał wiele jej aspektów, zrobiło się późno. Profesor zrebrał się i położył do łóżka wyraźnie zmęczony. Wtedy rozległ się telefon. Odebrała żona. To dzwonił Kuroń.

– Musicie zaraz do nas przyjść!

– Ale Klemens już leży – broniła się zaskoczona.

– To nic – rozmówca był nieubłagany – niech się ubiera i zaraz przychodźcie. Jest u mnie Michnik i Edelman, którzy twierdzą, że Klemens swym wystąpieniem uratował godność ludzi niewierzących.

„Co w tym człowieku było – pyta jego przyjaciel, pisarz Kazimierz Dziewanowski – że najróżnorodniejsze grona, zespoły, sympozja, grupy i środowiska tak często i jakby odruchowo zwracały się do niego, by objął ich przewodnictwo, by kierował ich obradami i podjął się pilnowania, aby prace przebiegały sprawnie i przyniosły pożytek? Co w nim takiego było, że w trudnych sytuacjach oczy zwracały się ku niemu?”

Przecież nie dlatego, że był w Powstaniu Warszawskim 1944. Przecież nie dlatego, że przeszedł przez obóz koncentracyjny Mauthausen. Przecież nie dlatego, że był stanowczy i łagodny, sprawiedliwy i wyrozumiały. Przecież nie dlatego, że był w nowopowstałej „Solidarności” jednym z jej najważniejszych mózgow. Przecież nie dlatego, że napisał niezliczona liczbę prac naukowych. Tym bardziej, że jak napisał redaktor Jerzy Jastrzębowski w „Związkowcu” wychodzącym w USA: „Kiedyś w jego gabinecie ujrzawszy pokryte niezrozumiałymi znaczkami arkusze papieru na biurku, spytałem go ilu ludzi na świecie rozumie treść jego wykładów. Zastanowił się chwilę i odpowiedział: „na świecie około stu”.

A można powiedzieć, że właśnie dlatego, że jego życiorys, jego osiągnięcia. Ale było coś jeszcze, co przyciągało innych i powodowało, że nikogo

nie potępiał i usiłował zrozumieć przyczyny, poglądy i argumenty, którymi posługiwali się jego adwersarze. Kierował się przy tym sformułowaną przez siebie etyką mądrości, wyrażoną w tomie jego prac „O nauce, rozumowaniu i wartościach”. Pokrótce streszczało się to do tezy, że jeżeli „ktoś ma standard i do tego standardu odnosi wszelką diagnozę, jest w tej materii absolutystą”. Mówiąc prościej – jeśli ktoś sądzi, że istnieje jakaś jedna hierarchia wartości, to ma w istocie jedną koncepcję mądrości”.

Dlatego umiał się tak pięknie różnić we wszystkich sprawach, poglądach i ideach, a w tym także na sprawy Kościoła. Na tym tle jego brak wiary nie raził tak jak u innych, którzy byli walczącymi ateistami. Być może dlatego, że był wychowany w nadzwyczaj, by nie rzec przesadnie religijnej atmosferze. Najlepiej oddaje to fragment wspomnień jego kolegi gimnazjalnego i lat studenckich Jerzego Pelca.

„Ojca Klemensa poznałem później, w następujących okolicznościach. Pewnego upalnego popołudnia Klemens chciał sobie kupić szklanek wody sodowej z sokiem – w pobliskim kiosku na Sadybie. Ale nie miał przy sobie pieniędzy i nie chciał ich wziąć ode mnie. „Wejść na górę – powiedział – wezmę z domu”. Weszliśmy do mieszkania, do pokoju stołowego. Uderzyły mnie dwie rzeczy: pierwsza to bardzo skromne urządzenie, skromniejsze niż w domach, w których odbywały się lekcje naszego kompletu; druga zaś to wisząca na ścianie podobizna Papieża, obraz dużego formatu, w ramach, opatrzony napisem: „Władysław Junosza – Szaniawski wraz z rodziną pada do stóp Ojca Świętego, prosząc o błogosławieństwo w godzinie śmierci”, a pod tym słowo „Udziałem” i podpis jakiegoś dostojnika Watykańskiego i jego funkcja. Pierwszy raz w życiu napotkałem wówczas tego rodzaju oznakę wiary z Kościołem. Nic podobnego nie zdarzyło mi się widzieć nawet w tak klery-

kalnym domu jak państwa Wasutyńskich, z których córką Kasią chodziliśmy do pierwszej i drugiej klasy szkoły powszechnej Katolickiego Związku Polek na Wareckiej 15”.

Tym ojcem przejawiającym tak żarliwą wiarę był znany codzienny felietonista międzywojennego „Kuriera Warszawskiego”, który pod pseudonimem „Aramis” napisał około cztery tysiące tekstów. Do tego był chory na ostrą agorafobię i nigdy nie opuszczał domu, czerpał tematy do swych felietonów z opowieści znajomych i przyjaciół. Dziadkiem profesora Klemensa był znany swego czasu pisarz epoki pozytywizmu, występujący pod pseudonimem Klemensa Júnoszy.

Mimo że ojciec profesora był zagorzałym zwolennikiem Narodowej Demokracji, to jed-

nak w czasie okupacji cała rodzina miała duże zasługi w ratowaniu i przechowywaniu w swym mieszkaniu dzieci żydowskich. Kiedy autor tej książki uczestniczył wraz z delegacją Związku Literatów Polskich w Kongresie Kultury Polskiej, w czasie jednej z rozmów z profesorem zaproponował uczestnictwo w Komitecie Uczczenia Pamięci marsz. J. Piłsudskiego – Szaniawski odmówił, przypuszczalnie z braku czasu. Ale zarazem, nie wiadomo dlaczego dodał – Wie pan, ja pochodzę z rodziny tradycyjnie endeckiej.

Wiadomo było wtedy i dziś każdy widzi to jasno, że profesor nie miał i nie mógł mieć nic wspólnego z tą opcją polityczną nie dopuszczającą żadnych innych poglądów poza własnymi. Wręcz brzydził się wszelkimi Nacjonalizmami i

skrajnościami. A może uznał, że w ten sposób złoży jakiś hołd pamięci ojca rozstrzelanego we Palmirach.

Ale była to odpowiedź mimo wszystko niezrozumiała. Dopiero wiele lat później wyjaśniła to żona, Anna Szaniawska:

– Klemens nie znosił wręcz obsesyjnie endecji i endeków, ale był przy tym niewiarygodnie uczciwy. Dlatego, jak sądzę, uznał, że jego obowiązkiem jest powiedzieć prawdę o poglądach ojca i rodziny. I tyle.

W każdym razie ten wybitny naukowiec, ceniony nie tylko w kraju, ale i za granicą, pełen humanistycznej chęci zrozumienia swych adwersarzy, wybitna postać opozycji demokratycznej i członek Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, musiał mieć istotne i

głęboko przemyślane motywacje, by 12 kwietnia 1981 roku wstąpić do loży masonskiej „Kopernik” w Warszawie.

A na koniec warto dodać informację wzbudzającą zdziwienie wszystkich czytających biogram profesora w „Who is who”. Odpowiadając na pytanie o sposób spędzania wolnego czasu wymienił m.in. „chodzenie po ulicach miast”.

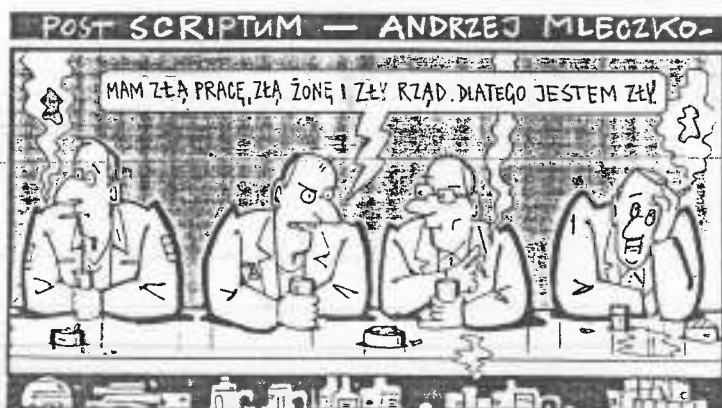
Ale brzmiało to dziwnie tylko dla tych, którzy nie przeczytali artykułu o pochodzącej z Polski Kindze Araya z Kanady, i o tym, że na Uniwersytecie w Montrealu robi doktorat o sztuce, której tematem jest „chodzenie po mieście”.

Ona na pewno by odkryła, że profesor Szaniawski, wybitny filozof miał w gruncie rzeczy duszę artysty.



Źródła:

- Relacja notowana ustna p. Anny Szaniawskiej z dn. 4 marca 2003.
- Klemens Szaniawski „Przestrzeń człowieka” (w) „Więź” – październik-grudzień 1987, str.193-195
- Marian Przetęcki – Wspomnienie, rękopis bez daty
- Klemens Szaniawski „Niewierzący a Kościół” (głos w dyskusji) (w) „Znak” Kraków nr 405-406 (2-3) luty-marzec 1989, str.36-38
- Jerzy Pelc – „Wspomnienie o Klemensie- nasze wspólne lata szkolne i studenckie”(w) „Ruch Filozoficzny” tom XLIX, nr 1, Toruń 1992 , str.244
- Jan Józef Lipski „Warszawscy „Pustelnicy” i „Bywalcy” t. 2 Warszawa 1973, str.2389,399
- Ludwik Hass „Wolnumularze polscy w kraju i na świecie 1821-1999” Warszawa 1999 str.483
- Gazeta Wyborca – Wysokie obcasy. 22 marca 2003 nr. 12 (208) str. 37.
- „Kto jest kim w Polsce” W-wa 1989, str. 1282



AKACJA

Magazyn aktualności „Wolnomularza Polskiego”

Redaktor naczelny
Adam Witold Wysocki

opracowanie graficzne i łamanie
Piotr Wyskok

tel./fax: 022 826 66 05, adres:
ul. Nowy Świat 22/7, 00-373 Warszawa
e-mail: wolnomularz@poczta.onet.pl

Piotr Kuncewicz

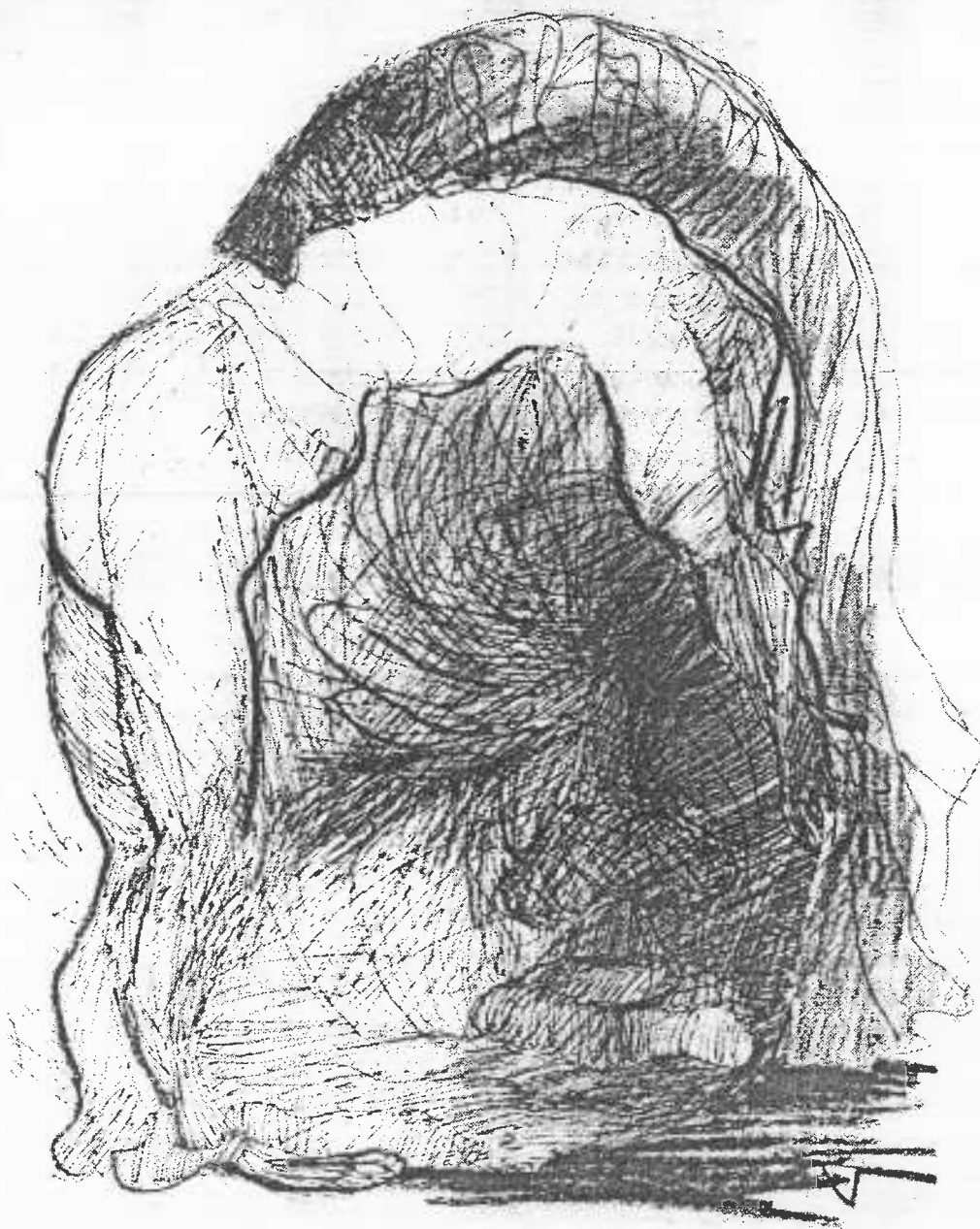
Wielkoduszność znaczy rozum

Zostałem kiedyś zaproszony na komisję senacką poświęconą rewindykacji dóbr związkowych. Podczas dyskusji powołałem się na katolickiego myśliciela Konstantego Michalskiego i jego apel o wielkoduszność. Profesor Tadeusz Zieliński, który komisji przewodniczył, powołując się na „Politykę” Arystotelesa odparł, że to nie dotyczy demokracji.

„Politykę” czytałem dawno i nie sięgałem do niej od czasów studenckich. Zresztą demokracja starożytna była tak odległa od współczesnej, że tylko wzruszyłem ramionami. Ale z biegiem lat przekonałem się, że zmarły, niestety, profesor a później rzecznik praw obywatelskich miał rację. W samym chrześcijaństwie zresztą też o wielkoduszności raczej głucho, ale nie o tym chcę pisać.

Jesteśmy świadkami dobijania lewicy. Jest to najpewniej fatalny błąd, który zemści się na społeczeństwie polskim prędzej czy później. To samo zresztą powiedziałbym, gdyby dobijana była prawica, bo demokracji nie wolno być „mono”, jako że to kończy się z reguły dyktaturą. Pewnie, lewicę obciążają błędy, afery i tak dalej. Ale zasadniczy problem polega na nieprzestrzeganiu „grubej kreski”, genialnego sformułowania Mazowieckiego, na tym, że rzekomo lewicy „wolno mniej”. Czyli na ustawicznym i monotonnym wypominaniu czasów Polski Ludowej.

Zapewne to właśnie spowodowało, że lewica jakby zapominając o swoich własnych wartościach robiła bezsensowne umizgi do prawej strony. Bo błędy popełniają wszyscy i podobnie każdemu zdarzają się afery. Chyba jednak prawica przesadziła w tym swoim polowaniu na lewicę. Nie było takiego drobiazgu, który by nie został nagłośniony i przesadzony. I tak po okruszynce doszliśmy do sytuacji bardzo dziwnej: sytuacja kraju jest wcale nie najgorsza, idzie ku dobremu,



jeśli nie liczyć irackiej gąfy ale za nią odpowiadają politycy wszystkich kierunków, a wyzwiska pod adresem lewicowego rządu sypią się nadal.

W samym centrum nagonki jest oczywiście afery Rywina. Muszę przyznać, że dalszy ciąg, czyli sprawę „grupy trzymającej władzę” uważam za całkowicie dętą, za nic nieznaający zwrot kolokwialny. Nad czym mianowicie ta grupa miałaby mieć władzę? Nad Polską, nad Sejmem, nad lewi-

ca, nad mediami? To się po prostu kupy nie trzyma. Można dowolnie tę grupę poszerzyć, na przykład o prezydenta, albo o prymasa, czy też z drugiej strony o kierownicę Jakubowskiej, albo o kucharza Czárzastego, jeśli takowego posiada. Zapewne wszyscy się jakoś znają. Czy z tego wniossek, że stanowią po prostu mafię? Przecież to istny absurd.

Owszem, prezydent i premier w jakiejś mierze trzyma-

ją władzę, to jest rzeczywiście ich funkcja z woli obywateli. Zdaje się, że prześwietne komisje sejmowe, obie, nie potrafią postawić granicy własnej napastliwości. Z czego jednak wynika tylko, że wspinałomyślność i w ustroju demokratycznym bywa potrzebna, bo jak ty komu, tak on tobie. A poza wszystkim już naprawdę nie wiem, czy to widowisko jest bardziej śmieszne, czy tylko obrzydliwe.



„To dziwne - myśli wojownik światła. - Spotkałem w życiu wielu ludzi, którzy przy pierwszej nadarzającej się okazji, starają się pokazać to, co w nich najgorsze. Zastaniają swoją wewnętrzną siłę agresji, a lęk przed samotnością kryją, pod maską niezależności. Nie wierzą we własną siłę i możliwości, ale bez ustanku przechwalają się nimi na cztery strony świata”. Wojownik dostrzega tę cechę u wielu mężczyzn i kobiet. Nigdy nie daje się jednak zwieść pozorom i milczy, gdy ktoś usiłuje zwrócić na siebie uwagę. Ale wykorzystuje najmniejszą nawet sposobność, by przewyciężyć własne wady, bowiem inni ludzie bywają wspaniałym zwierciadłem dla nas samych. Wojownik korzysta z każdej okazji, by stać się swoim własnym mistrzem.

Wojownik światła walczy czasem z tymi, których kocha. Człowieka, który ma przyjaciół, nigdy nie złamią wichry losu. Ma on w sobie dość siły, by pokonać trudności i iść dalej naprzód. Jednak bardzo często ci, których wtajemnicza w arkana walki okazują mu nieufność i prowokują do pojedynku. Wtedy wojownik pokazuje na co go stać - kilkoma ruchami wytrąca broń z rąk uczniów, a wtedy znowu powraca harmonia i zaufanie. „Czemu to czynisz, skoro masz tak wielką nad nimi przewagę?” - spytał go pewien wędrowiec. „Ponieważ, kiedy rzucają mi wyzwanie, w istocie chcą ze mną rozmawiać. W ten sposób podtrzymuję z nimi dialog” - odparł wojownik.

Paolo Coelho

„Podręcznik wojownika światła“

Przełożyła Basia Stępień

Wyd. Drzewo Babel